Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 33 | Niedziela, dnia 12 sierpnia 1928 roku | Rok IV-ty

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 40 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.
Konto w P.K.O. № 63.353

ŁÓDŹ — WARSZAWA — POZNAŃ

Treść numeru:

Sprawy tygodnia

LOTNICY POLSCY NAD ATLANTYKIEM

PRÓBA PRZELOTU nad Oceanem Atlantyckim, podjęta przez dwóch polskich lotników wojskowych, majora Kubalę i majora Idzikowskiego, nie powiodła się. Po 31 godzinach lotu, lotnicy wylądowali na morzu w odległości około 100 kilometrów od północno-zachodniego cyplu półwyspu Iberyjskiego, zwanego przylądkiem Finisterre, będącego jednocześnie najdalej na zachód wysuniętym cyplem kontynentu europejskiego (finis terrae). Lotników i aparat uratował niemiecki statek handlowy „Samos", płynący z Hamburga do portów wschodnio-azjatyckich i okrążający półwysep Iberyjski w drodze do cieśniny Gibraltaru.

Obecnie mamy już sprawozdanie majora Kubali, który kierował lotem jako obserwator i nawigator, możemy przeto na zasadzie tego sprawozdania ustalić pewne niejasne punkty, które omijane są w powodzi najróżniejszych opisów i szczegółów, dotyczących tego lotu, a publikowanych od tygodnia na łamach prasy polskiej.

Posłuchajmy więc najpierw, co mówi major Kubala:

„Po starcie na lotnisku Le Bourget, wzięliśmy kierunek na wybrzeże w stronie Lorient (miasto nadbrzeżne na południowy wschód od Brest przyp. red.). Od wybrzeża wzięliśmy kierunek na Azory, gdyż sprzyjał nam wiatr i pozwalał oszczędzać motor. W odległości około 800 mil morskich od Azarów natrafiliśmy na pomyślny wiatr południowy, wobec czego postanowiliśmy porzucić kierunnek na Azory i lecieć wprost do Ameryki. Przelecieliśmy już około 3 tysięcy kilometrów, gdy naraz spostrzegliśmy, że dopływ oliwy do motoru się zmniejsza. Stwierdzilimy, że nie jest to przejściowy defekt... Od motoru szedł żar nie do zniesienia. Niemniej jednak mieliśmy nadzieję, że oszczędzając motor, będziemy mogli kontynuować przelot, którego połowa była już za nami. Nieprawidłowe i coraz słabsze działanie motoru zmusiło nas do zawrócenia z drogi. Przelecieliśmy około 1500 km., lecz dalej lecieć nie mogliśmy. Wtem spostrzegliśmy statek „Samos". Byliśmy wówczas w odległości około 60 mil od przylądka Finisterre. Udało się nam przelecieć nad parowcem i rzucić nań pismo z prośbą do kapitana o wydanie zarządzeń, celem zabrania nas..."

W depeszy do komitetu przyjęcia lotników polskich, w New-Yorku obaj lotnicy donoszą:

„Zmuszeni do powrotu z połowy drogi, przebytej do 41 stopnia szerokości północnej i 34 stopnia długości zachodniej z powodu wyciekania oliwy, po 34 godzinach lotu... itd."

„...Przelecieliśmy około 3.000 km. Gdy ustał dopływ oliwy do motoru zawróciliśmy do Europy. Coraz poważniejsze niedokładności w działaniu motoru groziły niechybną śmiercią. Na szczęście statek „Samos" nas uratował. Wypadek nastąpił dokładnie w sobotę o godzinie 12-ej w południe. Godzinę tą wskazuje zegarek majora Kubali, który skutkiem gwałtownego wstrząsu w tym momencie stanął..."

Temu samemu korespondentowi oświadczyli lotnicy, że gdy wpadli do oecanu, mieli jeszcze około **2 tysięcy litrów** benzyny i zapas oliwy, wystarczający do ukończenia lotu.

* * *

ROZKŁADAMY ATLAS i staramy się odtworzyć linję lotu Kubali i Idzikowskiego, biorąc pod uwagę ich własne oświadczenia.

Miasto **Lorient**, nad którem lotnicy opuścili kontynent europejski a **St. Johns**, najbardziej na zachód wysunięty cypel półwyspu Nowej Ziemi, należącego do kontvnentu amerykańskiego, dokąd w czasie lotu lotnicy ostatecznie zdecydowali skierować samolot, **leżą** mniejwięcej na jednej szerokości północnej t. j. na prawie **50-ym stopniu** tej szerokości. Wyspy Azorskie leżą na południe **od tej linji,** między 39 a **40 stopniem** północnej **szerokości. Lot z Lorient do Nowej Ziemi** przez wyspy Azorskie prowadzić musiał zatem w pierwszej, **większej,** części na południowy zachód, a w drugiej, **krótszej,** części na północny zachód. Odległości wynoszą okrągło: Lorient—Azory **3.300 km.,** Azory—St. Johns, względnie wybrzeże Nowej Ziemi **2.700 km.**

Jak wynika z relacji majora Kubali, lotnicy, napotkawszy jeszcze przed Azorami (800 mil morskich) na pomyślny wiatr od południa, postanowili skrócić sobie drogę i do Azorów nie docierać, lecz lecieć prosto w kierunku Nowej Ziemi. Opuścili więc kierunek południowo-zachodni i wzięli kierunek zachodni z lekkiem odchyleniem na północ. Byli już na wysokości Azorów, gdyż widziały tam samolot dwa parowce: **„Port-Hunter"** i **„Amakura".** Jeden podaje, że widział ich o **800 km. na północ od Azorów,** drugi w odległości **500 km.** również na północ od Azorów. Ośmset kilometrów na północ od Azorów, to mniejwięcej **44 stopień szerokości północnej.**

Drugi parowiec widział samolot, lecący **już w stronę Europy.** Ponieważ kapitan statku „Port-Hunter" miał możność ściślejszego określenia położenia samolotu, należy przyjąć, że w chwili zawrócenia z drogi, lotnicy znajdowali się nie na 41 stopniu szerokości lecz **na 44-tym szerokości i 34-tym długości zachodniej.** Punkt ten oddalony jest od Lorient **o 2.700 km. w linji powietrznej,** a od wybrzeża Nowej Ziemi **o 2.600 km.** Rezygnując zatem z kierunku przez Azory i przecinając kolano, jakie na linji prostej z Lorient do Nowej Ziemi tworzą Azory, lotnicy oszczędzili sobie około 700 km. drogi czyli blisko pięć godzin lotu.

W ten sposób pierwsza część lotu, pokonanie większej części przestrzeni pomiędzy kontynentem europejskim a amerykańskim, po przeleceniu około 3.200 km. (Paryż—Lorient około 500 km.) **jest zupełnie jasna.** Duch, jaki musiał ożywiać lotników był wspaniały, wszystkie okoliczności zdawały się sprzyjać przedsięwzięciu: motor funkcjonował doskonale, pogoda dopisywała, a wiatr pomagał. Porzucają więc myśl o ewentualnej asekuracji, jaką stanowiły Azory i lecą prosto, ożywieni jaknajlepszą nadzieją.

* * *

DRUGA CZĘŚĆ LOTU natomiast nastręcza wiele niejasnych punktów, które zastanowić muszą każdego baczniejszego obserwatora i które powinny być bardzo dokładnie wyświetlone, by wspaniała odwaga, wykazana w pierwszej części lotu niczem nie była zaćmiona.

W mniemaniu majora Kubali, motor począł szwankować w pukcie geograficznym **41 i 34,** co odpowiada położeniu **od 250 do 300 km. na północ od grupy Azorskiej** i wtedy też następuje decyzja powrotu. Nietrzeba być fachowcęm, aby zrozumieć, że w chwili, gdy motor zaczyna szwankować i stwierdza się, że nie jest to usterka przejściowa, w momencie, gdy „od motoru zaczyna bić żar nie do zniesienia", t. j. **gdy motor z powodu braku oliwy zaczyna się palić,** lotnik nawet nad lądem rezygnuje natychmiast z próby dotarcia do jakiegoś lotniska, lecz **ląduje natychmiast.** A cóż dopiero nad morzem? Gdy więc major Kubala miał w tym momencie Azory **o 300 km.** (tak sądził — w rzeczywistości był o 800 km. od nich), a najbliższe wybrzeże europejskie **o 2.100 km.,** zaś wybrzeże amerykańskie **o 2.600 km.,** to dlaczego akurat wybrał dla ratowania się wybrzeże europejskie? Przecież **te same szanse katastrofy** były w razie niezawracania z drogi i zdecydowania się na próbę dotarcia jednak do wybrzeża amerykańskiego. Cień ratunku istniał **tylko w usiłowaniu dotarcia do Azorów.** Na Azorach w dodatku jest piękne lotnisko i Amiot, konstruktor aparatu, żegnając lotników w Le Bourget wołał do nich: „Pamiętajcie, na Azorach jest 10.000 metrów przestrzeni do lądowania!"

To jest najważniejsza zagadka, która powinna być wyjaśniona, gdyż ona oświetli szereg dalszych wątpliwości, co do tak zdumiewającej decyzji lotników.

* * *

KONKRETNE WYNIKI tego lotu przedstawiają się następująco: Lot trwał **31 godzin,** t. j. od piątku godzina 5-ta rano do soboty 12 w południe. W tym czasie samolot przebył przestrzeń okrągło **5.200 kilometrów** (500 km. Paryż—Lorient, 2700 km. Lorient punkt geograficzny 44 i 34 stopni i ok. 2000 km. droga powrotna do Finisterre). Nad oceanem przelecieli zatem lotnicy **przestrzeń zaledwie o 600 km. mniejszą niż odległość Lorient—Nowa Ziemia.** Lecieli zatem z szybkością **zgórą 160 km.** na godzinę. Zużycie benzyny wynosiło okrągło**4000 litrów,** zabrali bowiem ze sobą według oficjalnego raportu startowego 6.200 litrów, a w chwili opuszczenia się na morze mieli jeszcze w zbiornikach, według oświadczenia majora Kubali, **około 2.000 litrów.** Wynika z tego, że zapas benzyny starczyłby na 45 godzin lotu, t. j. w tych warunkach, w jakich odbywała się pierwsza połowa lotu,**na przebycie 7.200 km.,** czyli na przebycie całej drogi do New-Yorku.

Tembardziej trzeba żałować tej tak pięknie zapowiadającej się okazji związania imienia Polski z pokonaniem najtrudniejszego zadania, jakie staje przed współczesnem lotnictwem: z przelotem z kontynentu europejskiego na kontynent amerykański. Zadania tego dotychczas nie pokonał nikt. **Nie można bowiem uważać za przelot z Europy do Ameryki lotu niemieckiej „Bremen",** gdyż samolot ten startował na zachodniem wybrzeżu wysp wielkobrytyjskich, **a więc nie na kontynencie europejskim,** a wylądował na małej wysepce w pobliżu wybrzeża Nowej Ziemi, a **więc znowu nie na kontynencie amerykańskim.**

W końcu trzeba także zaznaczyć, że samolot i motor, na którym majorowie Kubala i Idzikowski odbyli swój lot wykazały **wprost zdumiewające zalety.** A zwłaszcza motor, który, **paląc się, nie wypowiedział posłuszeństwa i pozwolił jeszcze samolotowi na przebycie około 2 tysięcy kilometrów w niezmniejszonem tempie.** Słusznie też major Idzikowski na stacji kolejowej w Oporto padł w ramiona konstruktora samolotu, Amiota, i nie umiał znaleźć słów dla wyrażenia mu swego zachwytu nad aparatem.

POŁOŻENIE GOSPODARCZE.

ŻNIWA TEGOROCZNE są lepsze aniżeli się spodziewano. Suche i upalne lato naprawiło w zbożach chlebowych to, co zepsuła późna zima i dżdżysta wiosna. Zbiory żyta i pszenicy zapowiadają się bardzo dobrze i już dzisiaj nietylko, że nie potrzebujemy obawiać się braku zboża na potrzeby kraju, ale prawdopodobnie znaczne ilości będą mogły pójść na eksport, co stworzy częściową przynajmniej przeciwwagę dla niedoborów bilansu handlowego, spowodowanych importem wyrobów przemysłowych oraz importem inwestycyjnym naszego przemysłu. Nowy rok gospodarczy, który u nas zaczyna się po żniwach, zapowiada się dzięki temu korzystnie i pogorszenia się konjunktur na rynku wewnętrznym obawiać się nie należy.

Ostatnio bowiem znowu odzywają się zawodowi pesymiści i przepowiadają rychłe pojawienie się nowego kryzysu gospodarczego, które rzekomo z matematyczną koniecznością musi zrodzić się z utrzymującego się nadal deficytu w naszych obrotach zagranicznych.

Pozornie takby się zdawało. Od szeregu miesięcy przywóz nasz wartością swoją bardzo znacznie przewyższa wywóz i ogólny deficyt bieżącego roku kalendarzowego przedstawia się już w bardzo pokaźnej cyfrze **przeszło pięciuset miljonów i przekracza już prawie sumę pożyczki zagranicznej.** Do niedawna napływały jeszcze do kraju poważniejsze pożyczki zagraniczne, zaciągane przez samorządy i przemysł, ostatnio dopływ ten ustał i wobec pogorszenia się sytuacji na rynku amerykańskim niewiadomo, czy pożyczki, projektowane na jesień dojdą do skutku i czy np. takie miasta jak Łódź, Kraków i inne, które swoje pertraktacje pożyczkowe doprowadziły już prawie że do spisania zasadniczych punktów kontraktów, nie będą musiały **wogóle ze swoich projektów zrezygnować.**

Gdy więc liczyć się należy z ewentualnością dłuższej lub krótszej przerwy w dopływie kredytów zagranicznych na dłuższe terminy i gdy — jak wynika z dotychczasowych doświadczeń — nie można mieć nadziei na szybkie i wydatne zwiększenie eksportu, pozostaje nam tylko jeden środek, a mianowicie systematyczne ograniczanie dowozu artykułów zagranicznych. Środek ten **da nam możność zapobieżenia komplikacjom,** jakie w niedalekiej przyszłości musiałyby się pojawić, gdyby stan dotychczasowy trwał nadal.

Jesteśmy obecnie w tem położeniu, że zwolna, lecz systematycznie wzrastająca **siła nabywcza naszego rynku wewnętrznego zwraca się w dużym stopniu ku zagranicznym źródłom produkcji,** omijając, niekiedy najzupełniej zbytecznie i bez najmniejszego uzasadnienia, wytwórczość krajową. Zjawisko to musi być zwalczane i to nietylko przy pomocy instrumentów polityki celnej i przywozowej, ale także środkami innemi, a w szczególności zaś racjonalną i świadomą celu propagandą wytwórczości rodzimej.

* * *

MOŻNABY TO POWIEDZIEĆ, że zamiast ograniczeń przywozowych i barjer celnych, należy wywierać nacisk na krajowe warsztaty produkcji przemysłowej, by w jaknajszybszem tempie tak się zmodernizowały i wyroby swoje doprowadziły do takiej doskonałości i taniości jak zagraniczne, a wtedy nikt kupować nie będzie towarów zagranicznych, mając krajowe. Rozumowanie takie jest w naszych warunkach błędne. W większości wypadków takie doścignięcie zagranicznych wzorów jest u nas wogóle niemożliwe, ponieważ — pomijając już brak kapitałów inwestycyjnych — urządzenia takie nie mogłyby być wogóle wykorzystane w tym stopniu, by przynajmniej procentowały kapitał włożony w nie. Stan przemysłu związany jest jaknajściślej z ogólnym poziomem zamożności i kulturalnego rozwoju społeczeństwa. Poziom naszej produkcji odpowiada zaś, poza nielicznemi wyjątkami, wymaganiom i potrzebom naszego rynku. Dalszy rozwój może być tylko stopniowy. Forsowanie inwestycyj w przemyśle przez napędzanie mu na kark konkurencji zagranicznej z jednej, a odbieranie mu dopływu środków skutkiem tej konkurencji z drugiej strony, byłoby najfatalniejszą polityką.

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE — POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

Znajdujemy się na pierwszym stopniu rozwoju dobrobytu społecznego. Osiągnęliśmy go po długim bardzo okresie nędzy materjalnej i dlatego w okresie tym konieczną jest pewna czujność. Tak jak pacjentowi, przychodzącemu do zdrowia, nie pozwala się z reguły na dowolną djetę, tak samo czuwać trzeba nad wydatkami społeczeństwa, powracającego do dobrobytu po latach biedy.

Im prędzej wkroczymy na tę drogę, tem lepsze będą rezultaty. Ograniczenia w przywozie towarów zagranicznych przyśpieszą wzrost kapitałów oszczędnościowych, który obecnie dokonywuje się w tempie wolniejszem, aniżeliby być powinno, a to głównie dzięki temu, że pod wieloma względami duża część naszego społeczeństwa prowadzi życie wysoce nieracjonalne. Stosunkowo duże sumy wydaje na rzeczy zbyteczne i lwia część tych sum idzie zagranicę, a wydatki na utrzymanie i potrzeby najniezbędniejsze ogranicza do minimum i narzeka na nędzę.

* * *

PRZY ZIELONYCH STOLIKACH w ministerstwach prowadzi się długie narady i dyskusje, aby wynaleźć sposoby podniesienia naszego eksportu, formułuje się niezliczone wnioski, masę pracy mozolnej poświęca się na opracowywanie projektów, a rezultatów tego wszystkiego nie widać. Nie widać ich dlatego, że cała ta praca jest zbyt jednostronna. Pragnie się uczynić wszystko, aby podnieść przemysł, ożywić go, uczynić najdoskonalszym, wprowadzić go na rynki światowe, a z drugiej strony **czyni się wszystko, aby przemysłowcowi gruntownie odebrać ochotę do wszelkiej inicjatywy.** Chciałoby się przemysłowca **oddzielić od przemysłu** — niechby sobie tam gdzieś żył w jakimś kącie swojej fabryki i stosował się posłusznie do rozporządzeń, regulujących przemysł. Dlatego cała ta praca przeważnie nie wydaje żadnego efektu. Żyjemy w ustroju, w którym najprostsza droga do przemysłu prowadzi przez przemysłowca i w którym za pośrednictwem przemysłowca najskuteczniej można oddziaływać na przemysł. Wszelkie próby omijania tego naturalnego pośrednika i wysiłki, zmierzające do pomniejszenia jego roli i znaczenia, **muszą prowadzić na manowce i do niepowodzeń.**

Głosi się konieczność uszlachetnienia i usprawnienia produkcji krajowej, zbliżenia jej do najlepszych wzorów zagranicznych, a czy za zasługi, położone w tej dziedzinie, został już w Polsce ktoś odznaczony, wyróżniony lub nagrodzony? Czy był już wypadek, by największej nawet zasłudze na tem polu dano świadectwo publiczne? A przecież jest to podobno najważniejsza dziedzina twórczej pracy państwowej. I w bardzo wielkiej ilości wypadków osiągnięte zostały w niej zdumiewające rezultaty, lecz zamiast uznania, wyróżnienia, nagrody—z reguły przynosiły plagi w postaci najwymyślniejszych śledztw ze strony władz i urzędów skarbowych, a nierzadko krzywdzące posądzenia i zarzuty.

Zwłaszcza w dziedzinie nawiązywania stosunków z zagranicą każdy niemal sukces był i często jest jeszcze źródłem pasma tortur i przykrości.

W tej dziedzinie wiele się musi zmienić. Trzeba bowiem pamiętać, że najpotężniejsze państwa europejskie zawdzięczają olbrzymi rozwój i światowe stanowisko swego przemysłu i handlu nie urzędnikom ministerjalnym, nawet najbardziej dzielnym, energicznym i uzdolnionym, lecz przemysłowcom, których zasługi umiały odpowiednio nagradzać i wyróżniać, tak jak wynagradzały zasługi i sukcesy na innych polach twórczej pracy.

* * *

ALARMY WOJENNE.

NA TLE ZATARGU polsko - litewskiego powstają coraz częściej pogłoski o możliwości takiego zaostrzenia się tego zatargu, **że konflikt zbrojny będzie nieunikniony.** Celuje w szerzeniu tych pogłosek szczególnie prasa niemiecka, która z lubością zamieszcza tasiemcowe wywody różnych anonimowych mężów stanu litewskich, w których każe im rozważać możliwości wojenne.

Urodzajnem podłożem dla tego rodzaju alarmów jest nietyle kanikuła, ile raczej **zbliżający się termin zebrania się ponownego konferencji polsko - litewskiej w Królewcu i wrześniowa sesja Ligi Narodów.** Są to pierwsze próby zaszachowania Polski. Przez insynuowanie Polsce zamiarów wojennych, przez szerzenie pogłosek o rzekomej koncentracji wojsk polskich na granicach Litwy, przez łączenie z tem wszystkiem Anglji, która jakoby wiedziała o planach polskich i aprobowała je, pragnie się osiągnąć zmianę zajętego przez Polskę stanowiska. Jeden z takich rzekomo miarodajnych polityków litewskich przewiduje w swoich wynurzeniach, przeznaczonych dla prasy niemieckiej, że jeśli konferencja polsko-litewska nie doprowadzi do żadnych rezultatów, **co zgóry należy przewidzieć,** i jeżeli także Liga Narodów nie potrafi z powodzeniem odegrać roli rozjemcy, to **kroków wojennych ze strony Polski należy się spodziewać na wiosnę.**

Cel takich wersyj jest jasny. **Chodzi o wywołanie w opinji europejskiej zwrotu na niekorzyść Polski,** jako tej, która ewentualnie pierwsza chwyci za broń, która jest zdecydowana uczynić to i dlatego zgóry należy odnosić się nieufnie do jej taktyki w czasie rokowań. A ponieważ na poprzedniej sesji Rady Ligi Narodów przedstawiciel Anglji wyraźnie dał do zrozumienia, że uważa stanowisko Polski za słuszne, insynuuje się równocześnie Anglji, że jest w spisku z Polską i wspiera jej plany wojenne, aby wymusić na niej większą wstrzemięźliwość w manifestowaniu swego nieprzychylnego dla nieodpowiedzialnej polityki p. Woldemarasa stanowiska.

Niemcy, w których prasie te perfidne plany są wprowadzane w życie, bardzo przemyślnie umyły ręce przedtem, polecając swemu przedstawicielowi w Kownie wstawić się u p. Woldemarasa na rzecz złagodzenia zatargu z Polską.

Wszystkie te alarmy wojenne są oczywiście takim samym nonsensem jak doniesienia również prasy niemieckiej **o rzekomych przygotowaniach wojennych ze strony Polski na granicy Prus Wschodnich.** W niedzielę usłyszymy zapewne z ust Marszałka Piłsudskiego, z okazji zapowiedzianej jego mowy na Zjeździe Legjonistów w Wilnie, jego opinję w sprawie litewskiej i jego sąd o rzekomych wojennych planach Polski.

* * *

ZA KILKANAŚCIE DNI Polska położy swój podpis pod **antywojennym paktem Kelloga.** Już to samo wystarczy na obalenie wszystkich insynuacyj o rzekomych jej wojennych zamiarach. Polska bowiem zawsze dotrzymuje swoich zobowiązań, a w stosunku do paktu Kelloga nawet żadnych zastrzeżeń nie zgłosiła, akceptując pakt w całej rozciągłości.

Sprawa litewska stanowi jawne i trwałe niebezpieczeństwo dla pokoju europejskiego, ale nie ze strony Polski.

Według ostatnich informacyj, konferencja posko - litewska nie odbędzie się tym razem w Królewcu, lecz **w Genewie.** Propozycję taką zgłosił rząd polski, wyrażając jednocześnie życzenie, aby konferencja ta mogła się odbyć w końcu sierpnia. Rząd litewski zdecydował się już podobno przyjąć propozycję polską i ustalić termin konferencji **na 30 sierpnia w Genewie.**

Konferencja prawdopodobnie nie potrwa długo, gdyż wobec kompletnego rozbicia się rokowań komisyjnych, które odbywały się po konferencji królewieckiej, na naradach genewskich stwierdzona zostanie prawdopodobnie niemożliwość dojścia do porozumienia pomiędzy obu stronami i sformułowany zostanie wniosek ponownego przekazania zatargu Radzie Ligi Narodów, która zajęłaby się nim we wrześniu.

NOWY RZĄD

Ci, którzy zostają

III.
MINISTER ZALESKI.

Pomyślnie sterował nawą państwową na szerokich wodach stosunków międzynarodowych minister Spraw Zagranicznych p. *August Zaleski.* Jeżeli chodzi o jego poglądy, to były one wyłuszczone przez niego samego w dwu mowach na komisjach w sejmie i w senacie. Były tam również echa jego działalności. Poglądy ministra mają treść następującą:

Polska powstała na nowo do życia państwowego w rezultacie wielkiej wojny i teraz, odzyskawszy niepodległość, za podstawę całej polityki zagranicznej uważać musi zachowanie odzyskanej niepodległości w całej rozciągłości. Postulat ten zawiera w sobie inny, będący jednym z punktów jego, mianowicie *nietykalność granic Rzeczypospolitej.*

Tę główną podstawę polityki zewnętrznej Polski wielokrotnie akcentował p. Zaleski, bądź wobec dążności niemieckich do rewizji traktatu wersalskiego, bądź wobec uroszczeń litewskich względem Wilna. Wewnątrz granic państwa najbardziej groźnemi dla tej głównej idei są *tendencje, dążące do przyłączenia Polski do Związku Sowieckich Republik oraz do oderwania od Polski ziem, zaludnionych po części przez Ukraińców.* Tu jednak głos główny nie przypada ministrowi Spraw Zagranicznych, lecz innym.

W związku z zasadą obrony niepodległości Polski jest druga idea, wysuwana przez naszą politykę zagraniczną, mianowicie *poszanowanie całości i niepodległości innych państw.* W imię tej zasady minister Zaleski prowadził pertraktacje z Litwą oraz układy z Niemcami. Syntezą obydwu idei jest dążność do utrwalenia podłoża dla ich realizacji w całym świecie cywilizowanym, t. j. dążność do zapewnienia długotrwałego pokoju i *uniemożliwienia wojen na okres jaknajdłuższy.*

Rolę Polski w dziele pacyfikacji świata bardzo dobrze scharakteryzował minister Zaleski w swej mowie wobec komisji spraw zagranicznych senatu w dniu 5.V. b. r. Słowa odnośne ministra brzmiały, jak następuje:

Polska, dzięki swemu położeniu geograficznemu tak dawniej, jak i dzisiaj, *posiada szczególne znaczenie dla pokoju Europy, jako jeden z ważnych bastjonów bezpieczeństwa narodów.* Podobnie jak szereg poczynań wielkich mężów stanu dawnej Polski, w celu ugruntowania pokoju na wschodzie, tak i traktat pokojowy, zawarty przez nas z Sowietami w Rydze 1921 roku, stanowi fakt pierwszorzędnego znaczenia dla struktury, w której ramach mieści się życie narodów. Świadomi naszej *misji na wschodzie Europy,* nie daliśmy się upoić świetnem zwycięstwem orężnem, lecz rządząc się umiarkowaniem, zawarliśmy traktat, oparty na zasadzie oszczędzania przeciwnika. Wykazaliśmy przez to w dostatecznej mierze, że dalekie są nam egoistyczne cele, a *chodzi nam przedewszystkiem o stworzenie podstaw dla nowego życia, mogących zabezpieczyć powszechny pokój".*

W imię tych idei reprezentacja Polski na VIII-em wrześniowem zgromadzeniu Ligi Narodów wystąpiła z inicjatywą *deklaracji, potępiającej wojnę.* Jak wiemy deklaracja ta uległa modyfikacjom, zanim została uchwalona. W każdym razie ostateczna uchwała Ligi była znacznym postępem w stosunku do postanowień paktu o Lidze Narodów, który dopuszcza w różnych wypadkach wypowiedzenie wojny. Obecnie, jak wiadomo, *Ameryka podjęła inicjatywę Polski ponownie.* Jest to projekt wyrzeczenia się wojny, jako narzędzia polityki narodowej przez wszystkie państwa świata. Nosi on nazwę *„paktu Kelloga"*, ponieważ autorem jego jest sekretarz stanu Republiki Stanów Zjednoczonych p. Kellog.

Wystąpienie Ameryki z propozycją, podobną do polskiej, w tak krótkim czasie po inicjatywie Polski przynosi zaszczyt tej inicjatywie i jej autorowi, ministrowi Zaleskiemu. — Podczas dyskusji w sejmowej komisji do spraw zagranicznych dnia 24.V b. r. poseł Graliński z „Wyzwolenia" postawił zrozumiały zarzut ministrowi Zaleskiemu, że Polska nie została zaproszona do udziału w pertraktacjach międzypaństwowych o projekcie Kelloga. Nadał mu formę bardzo dyplomatyczną „ubolewania":

„Z dużem zdziwieniem i poważnym niepokojem patrzymy, panie ministrze, na fakt, że Polska nie jest objęta liczbą tych państw, które mają decydować o stypulacjach wyłaniającego się paktu nieagresji, o postanowieniach tego dokumentu, który może mieć pierwszorzędne znaczenie dla bezpieczeństwa Republiki Polskiej".

Nieco dalej mówił prosel Graliński w ten sposób:

„Do udziału Polski w tych obradach przywiązujemy zasadnicze znaczenie. Współudział ten będzie miernikiem, będzie dowodem tego „podniesienia znaczenia, wpływu i prestige'u Polski na zewnątrz", o którym Pan mówił, Panie Ministrze".

Los bardzo szybko kwestję rozstrzygnął na korzyść ministra, bo *w pierwszych dniach lipca rząd polski otrzymał zaproszenie rządu amerykańskiego do wzięcia udziału w debatach nad paktem Kelloga.* — W kwestji akcji pokojowej, prowadzonej przez różne państwa minister Zaleski w cytowanem przemówieniu na komisji spraw zagranicznych senatu w dniu 25.V. b. r. stwierdził, co następuje:

„Zrozumiałem jest, że ludność po zakończeniu tej strasznej wojny, wycieńczona do ostateczności pod względem moralnym i materjalnym, łaknęła przedewszystkiem jednego: to jest pokoju".

Minister zwraca uwagę, że historja lat powojennych wykazuje, jak głęboko tkwi w ludzkości to pragnienie pokoju.

Trudno byłoby przytoczyć nazwiska tych wszystkich mężów stanu, wyliczyć rządy, organizacje etc., które nieskończone ofiary poniosły w kierunku niesienia i utrwalenia pokoju. Niezliczone kongresy, konferencje, porozumienia i traktaty starały się odbudować powoli cegła po cegle zniszczony aparat pokoju, zmieniając do gruntu podwaliny przedwojennego współżycia narodów. Tu p. August Zaleski odsłania przed oczami profanów rzecz znaną dyplomatom, na którą jednak często zamykać muszą oczy, nie mogąc ze względów dyplomatycznych rzeczy tej nazwać po imieniu:

„W tej pracy odrodzenia *poczęły się jednak wkrótce zarysowywać dwie sprzeczne ze sobą tendencje,* a mianowicie: *pracy konstruktywnej i pracy destruktywnej, pokrytej płaszczykiem pokojowości".*

Rolę polityki polskiej *w tej grze szczerych* tendencyj pokojowych i obłudnych zamiarów wzniecenia nowej wojny bez ponoszenia za to odpowiedzialności, charakteryzuje minister Zaleski słowami:

„Świadomi faktu, *że nasze położenie geograficzne, jak też i doświadczenie ubiegłego stulecia dały nam szczególnie głęboką znajomość zagadnień,* stanowiących jedną z osi takiej akcji organizacyjnej, nie uchylaliśmy się od najofiarniejszej współpracy wszędzie tam, gdzie dążono do *ugruntowania pokoju.* Na konferencjach, których przebieg i rezultaty stanowić będą ważną kartę powojennej historji świata, braliśmy najczynniejszy udział, wykazując wielkie umiarkowanie, a zarazem tendencje do najgłębszego i realnego zbadania zagadnień bezpieczeństwa i pokoju".

Minister zkolei podkreśla znaczenie kwestyj gospodarczych dla pokoju międzynarodowego:

„Jednym z głównych filarów, na którym opierać się musi sklepienie organizacji pokoju, jest międzynarodowa współpraca ekonomiczna, polityka rekonstrukcji, a raczej rekonwalescencji światowego organizmu gospodarczego, zniszczonego przez wielką wojnę".

Ze względu na ścisłą łączność gospodarki narodowej z polityką zewnętrzną minister wyraźnie akcentuje charakter naszej polityki celnej:

„W Europie przeważa *tendencja do stosowania liberalizmu ekonomicznego prawie wyłącznie w obrocie wytworami przemysłowemi* z pominięciem produktów rolnych i hodowlanych. Stwierdzam, że *takie stawianie kwestji jest dla nas nie do przyjęcia.* Godzi ono w żywotne interesy Polski tak samo, jak np — powrót do pełnego wolnego handlu niektóremi artykułami, np. barwnikami, jest nie do przyjęcia dla Anglji. Pragnę jednak równie stanowczo stwierdzić, że skoro tylko inne kraje zaczną stosować te same zasady w stosunku do naszych artykułów eksportowych, Polska przestanie powściągać swe szczere zamiary wolno - handlowe i powróci w pełni do swej liberalnej polityki z przed roku 1925, kiedy to poza kilku artykułami luksusowemi nie istniały u nas żadne zakazy przywozu".

Cytaty powyższe świadczą, z jaką głębokością i sumiennością ocenia p. August Zaleski naszą sytuację na forum międzynarodowem. Do ministrów Spraw Zagranicznych nie mieliśmy szczęścia. Jest to pierwszy ostrożny, zręczny kierownik zewnętrznej polityki Rzeczypospolitej, mający przytem rozległe horyzonty ideowe. Wszędzie pozostał: byłoby dziwnem, gdyby stało się inaczej.

Dr. Gustaw Doborzyński.

Sadyzm fiskalny

Przeciążenie podatkowe przemysłu i handlu przez nasz system podatkowy jest faktem już tak dalece powszechnie znanym i uznanym, że wolno już dzisiaj powoływać się na to, jako na pewnik stwierdzony. Odrzucone przez sejm dwa nowe projekty ustaw podatkowych stanowią pewien niezapoznawalny dowód tego, że nawet już sfery rządowe pewnik ten sobie przyswoiły. Jakkolwiek bowiem nowe te projekty nie przewidywały ulg podatkowych dla przemysłu i handlu, jednakże wykazywały niezbicie, że p. minister skarbu zdaje sobie sprawę z całkowitej **niemożliwości sięgania do tego źródła** dla pokrycia nowych potrzeb budżetowych. Jest to, jak na nasze warunki, w każdym razie postęp w ideologji urzędowej bardzo poważny. Gdy zaś dodać do tego jeszcze, że zamiar zreformowania, choć nie zniesienia całkowitego, podatku obrotowego również istnieje, to stanowczo mówić już można o zdecydowanem otrzeźwieniu poglądów w tej dziedzinie.

Niestety jednak czynniki miarodajne nie zdołały jeszcze wpoić tego nowego ducha **organom wykonawczym skarbowym,** które nietylko obce i wrogie są wszelkiej myśli o łagodzeniu ciężaru podatkowego w ramach i granicach obowiązujących przepisów prawnych, ale wprost przeciwnie, opętane manją prześladowczą i swoistym sadyzmem, robią co mogą, by ciężar ten powiększyć i ponoszenie go w dodatku uczynić możliwie jaknajdokuczliwszem.

Celuje w tem, od pewnego czasu zwłaszcza, Izba Skarbowa łódzka, która nietylko dokonywa wymiaru i poboru z najdalej posuniętym rygoryzmem i bezwzględnością, co ostatecznie jest jej dobrem prawem, ale nadomiar wymyśla sobie i ustanawia **własne metody postępowania,** wkraczające w dziedzinę już nie własnej interpretacji prawa, ale **i samowolnego uzupełniania go.** Tak więc poza mozolnemi rewizjami podatkowemi za szereg dawno już zamkniętych i zakończonych lat ubiegłych, zasypuje płatników odnośnie podatków bieżących tysiącznemi drobiazgowemi wymaganiami, dla zadośćuczynienia którym wyznacza pod groźbą surowych następstw, terminy tak groteskowo krótkie, iż tylko intencja uniemożliwienia spełnienia żądań w celu zastosowania zagrożonych następstw dyktować je może.

Dalecy od propagowania niedbalstwa lub obojętności z jednej strony, a od bronienia niesumienności podatkowej z drugiej, nie możemy jednak nie uznać systemu, polegającego na niepotrzebnej dokuczliwości, znęcaniu się i bezwzględności, posuniętej do granic ostatecznych, za nietylko nie prowadzący do celu, ale wprost wysoce szkodliwy. Mniejsza bowiem o to, że obrzydza życie nieszczęsnym płatnikom, co ewentualnie może, choć nie powinno, być obojętne władzy wymiarowej, ale co gorsza, **całkowicie wykoleja słuszny i pożądany stosunek społeczeństwa do władzy,** wprowadzając doń, jako zrozumiałą reakcję na nieufność zasadniczą i inkwizycyjną dokuczliwość, współczynnik **rozgoryczenia i nienawiści.** Szkodliwość tego wyczuł trafnie prof. Kemmerer, gdy zalecał w swojej opinji stosunek, pełny życzliwości i szacunku. Jak gdyby umyślnie i celowo właśnie w latach ostatnich doprowadzono, przynajmniej na terenie łódzkim, stosunek ten do zupełnego przeciwieństwa zarówno życzliwości, jak szacunku.

Kto na tem zyskuje?

A do czego dochodzi zacietrzewienie urzędnicze, tego najlepszym dowodem jest fakt następujący: nie mogąc nasycić swych sadystycznych pożądań samem tylko **traktowaniem płatników podatków, jako oszustów,** przenosi się swe podejrzenia jeszcze i na ich domniemanych wspólników w dziele krzywdzenia skarbu — mianowicie na ich **dostawców surowców i kredytodawców zagranicznych.** I nie kontentując się przedłożonemi przez płatnika ich rachunkami, wyciągami i kontokurentami, **żąda się, by dokumenty te zostały tam, zagranicą, zalegalizowane notarjalnie, a ponieważ i notarjusz może być oszustem, więc jego podpis winien w dodatku jeszcze być zalegalizowany przez władze konsularne polskie.** Podobno od jednej z firm przemysłowych łódzkich **zażądano uwierzytelnienia w ten sposób kilkudziesięciu dokumentów.**

Logika tego wymagania jest nader trudna do zrozumienia, bo ani prawo nie upoważnia do żądania **dowodów na dowody,** ani jednostka zagraniczna nie może być pociągnięta do odpowiedzialności za niespełnienie tak dziwnego żądania. Zatem jedynym celem być może tylko **dokuczenie miejscowej firmie** dla samego dokuczenia, względnie postawienia jej żądania niewykonalnego dla wyciągnięcia wobec niej **konsekwencyj za niewykonanie go.** Niewykonalność zaś leży jak **na dłoni,** bo wątpliwem się wydaje, by którykolwiek polski odbiorca — dłużnik mógł zdobyć się na ubliżenie swemu dostawcy — wierzycielowi przez zażądanie od niego czynności, której nie wymaga od niego nawet jego własna władza podatkowa. Nie może tego uczynić poprostu w obawie o utrzymanie dalszego stosunku i dalszego korzystania z kredytu. Jasnem jest bowiem, że wierzyciel taki wyrzekłby się stosunków nietylko indywidualnie z tym dłużnikiem (widocznie bardzo małowartym, skoro tak ostro podejrzewanym przez własną swą władzę), ale i z polskiemi firmami wogóle, skoro stosunki z niemi mogą narażać go na tak upakarzającą konieczność **legitymowania prawdziwości swych dokumentów.**

Czy nie byłby już czas na to, by władze zwierzchnie wejrzały w te stosunki i ukróciły tę przebierającą wszelką miarę wynalazczość organów wykonawczych, mogącą wyrządzić nieobliczalne szkody?

D. F.

P. P. G.

jako dostawca przędzy

Powszechne zaniepokojenie na rynku łódzkim wywołaoł zaofiarowanie poważnej partji zagranicznej przędzy bawełnianej przez firmę **„Polski Przemysł Gumowy"** w Grudziądzu. W krytycznym okresie panującego obecnie zastoju, w okresie wysiłków prywatnych i rządowych, zmierzających do zmniejszenia przerastającej potrzeby produkcji przędzy, to zjawienie się podaży po bardzo niskiej cenie ze strony tak niezwykłego dostawcy nie mogło nie zwrócić na siebie uwagi, której może nie byłoby zwróciło w warunkach dobrego odbytu przędzy.

Rzecz ma w dodatku pewien posmak zupełnie swoisty: mianowicie P. P. G. sprowadza przędzę bawełnianą z zagranicy w trybie obrotu uszlachetniającego, czyli bez cła. Jak wiadomo zezwolenia takie wydawane są tylko z warunkiem reeksportu. Powstaje szereg natrętnych pytań: dlaczego P. P. G. zezwolenie to uzyskał, skoro podszewka kolorowa (bo chyba tylko o nią chodzi), wytwarzana jest z przędzy, obficie produkowanej w kraju i to silnie mieszanej z przędzą wigonjową? **Jak wobec tego ustala się ilości reeksportowane?** Czy eksport kaloszy, którego rozmiary nie są znane, usprawiedliwia podobne uprzywilejowanie z krzywdą krajowego przemysłu przędzalniczego?

Jakakolwiek byłaby odpowiedź na te pytania, fakt, że P. P. G., zamiast przerabiać przędzę, występuje na rynku w charakterze dostawcy, świadczy wymownie, że **pozwolenie na przywóz w trybie obrotu uszlachetniającego zostało wydane w niewłaściwe ręce.**

O przyszłość polskiego przemysłu naftowego

Polski przemysł naftowy przeżywa w ostatnich czasach bardzo poważne zmiany, które dla jego przyszłości mogą mieć niezmiernie doniosłe znaczenie, a których społeczeństwo nasze nie docenia, czego najlepszym dowodem, że w prasie o tych zmianach i o ich znaczeniu niema prawie żadnych wzmianek.

Zmiany te — to t. zw. proces koncentracyjny, wykupywanie wszystkich poważniejszych przedsiębiorstw naftowych przez jedną grupę kapitalistów.

I tak w ostatnich czasach grupa kapitalistów francuskich pracująca w polskim przemyśle naftowym pod firmami: **„Verdatok"** i **„Małopolski przemysł naftowy"** wykupiła firmę **„Premjer"**, a w ostatnich miesiącach dalsze 3 firmy, a mianowicie: Koncern **„Dąbrowa"**, Towarzystwo akcyjne **„Nafta"** i Spółkę akcyjną **„Fanto"**. Obecnie posiada już ona w swojem ręku **przeszło 50 proc. produkcji ropy w Polsce i 8 dużych rafineryj.**

Nadto kolportowaną jest w sferach naftowych pogłoska, że grupa ta traktuje o wykupno Towarzystwa „Limanowa", T-wa „Galicja" i Państwowej rafinerji **„Polmin"**.

O ileby te pogłoski polegały na prawdzie, grupa ta **znalazłaby się w posiadaniu całego przemysłu naftowego w Polsce,** z wyjątkiem dwu rafineryj i do tychże przynależnych kopalń, należących do grupy amerykańskiej **„Standard"**.

Taka koncentracja całego polskiego przemysłu naftowego w jednych rękach, daje bezsprzecznie posiadaczom bardzo poważne korzyści, a to przez zracjonalizowanie przeróbki i wydobywania surowca, przez znaczne obniżenie kosztów administracji i przez bezkonkurencyjną dowolność w stanowieniu cen na rynkach wewnętrznych; czy jednak leży ona w interesie Państwa Polskiego, w tym kierunku poważne nasuwają się wątpliwości.

Gdyby kapitały, przeprowadzające tę kolosalną transakcję przynajmniej w połowie znajdowały się w rękach polskich, możnaby mić nadzieję, że gospodarcze interesy polskie będą respektowane i chociaż ta operacja dla pracowników w tym przemyśle byłaby bolesną, gdyż pociągnąć by za sobą musiała znaczne redukcje personalu (i to przeważnie personalu urzędniczego) lecz w przyszłości przez zwiększenie i gwarancję rentowności tych przedsiębiorstw możnaby się spodziewać intensywniejszego ich rozwoju, wzmożenia produkcji i powiększenia warsztatów pracy, coby tę bolesną operację z czasem zabliźniło, a nawet stworzyło większe zapotrzebowanie pracy.

Jeżeli jednak operacja ta dokonywaną jest przez kapitały obce, dla których gospodarcze i inne interesy polskie są najzupełniej obojętne, jeżeli to są może nawet kapitały spekulacyjne, dla których głównym celem są operacje giełdowe, gra na zniżkę i zwyżkę kursów akcyj, to taka koncentracja musi budzić poważną troskę o losy tego przemysłu.

Przedewszystkiem koncentracja taka spowoduje napewno znaczną zwyżkę cen na rynkach wewnętrznych (gdyż nie będzie konkurencji, którąby te ceny regulowała), a to zapłaci ludność polska.

Następnie, któż zagwarantuje, że w pewnym momencie, cicho bez hałasu i wiedzy czynników państwowych, akcje tego Koncernu nie przejdą znowu w inne ręce, ot np. w ręce któregoś z światowych Koncernów naftowych, jak „Standard", „Royl Dutsch", które dzierżą w swoich rękach prawie cały światowy przemysł naftowy, a w których interesie leżeć będzie z pewnością nie rozwój tutejszego przemysłu naftowego, lecz raczej jego śmierć, gdyż w ten sposób pozbędą się konkurenta na rynkach europejskich, konkurenta, który na tych rynkach był im zawsze bardzo niewygodny.

Zaznaczyć należy, że **w Polsce wydobywanie ropy jest najkosztowniejsze na całym świecie,** a to z powodu właściwości terenowych — i co za tem idzie — bardzo trudnych i kosztownych wierceń, z powodu ubóstwa źródeł ropnych, oraz właściwości ustawodawstwa o własności tego minerału — nie można zatem liczyć, aby te towarzystwa („Standard", czy „Royal Dutsch") mogły mieć interes w rozwoju naszego przemysłu naftowego. Raczej może im zależeć na jego unieszkodliwieniu.

Zaznaczam, że obawy takiej ewentualności nie są wymysłem pesymistycznego nastroju, lecz oparte są na doświadczeniach z przeszłości. Grupa „Standard" n. p. jeszcze za czasów austrjackich podejmowała akcję, mającą na celu zniszczenie i unieszkodliwienie naszego przemysłu naftowego i tylko energicznej kontrakcji rządu austrjackiego, udało się tę akcję w zarodku sparaliżować

Nie od rzeczy też będzie zaznaczyć, że wymieniona wyżej firma francuska, mimo, że już przed dwoma laty wykupiła firmę „Premjer", stając się przez to jednym z najpoważniejszych i najzasobniejszych producentów ropy w Polsce, **nietylko nie zwiększyła w tym czasie swej produkcji, lecz jak nas informują, roboty wiertnicze ograniczyła.**

O ile by to było prawdą, że ta francuska grupa traktuje również o wykupno „Polminu", należałoby się poważnie zastanowić, czy ze względu na przyszłość polskiego przemysłu naftowego wolno wogóle myśl taką dopuszczać.

Gdy Polska ma w swych rękach tak poważną rafinerję, jak „Polmin", zawsze będzie można pomyśleć w przyszłości o odpolszczeniu naszego przemysłu naftowego. Koncentracja polskich przedsiębiorstw zawsze łatwiej dałaby się przeprowadzić około tej wielkiej polskiej fabryki. Rafinerja ta zresztą powinna być szkołą dla polskich pracowników naftowych — tak technicznych, jak i administracyjnych — powinna być **laboratorjum postępu w dziedzinie technologji naftowej.** Choćby to przedsiębiorstwo było nawet narazie pasywne, korzyść jego z przytoczonych względów i tak jest aż nadto widoczna.

Przyszłość naszego przemysłu naftowego w tych warunkach staje się niepokojącą zagadką i tylko należyte uzmysłowienie sobie przez miarodajne czynniki rządowe wszystkich najdalej idących możliwości i zachowanie daleko idącej ostrożności może uchronić państwo przed przykremi niespodziankami, jakie z tej akcji mogą wyniknąć.

(Krosno). **Jerzy Korecki.**

Łódzki problem komunikacyjny

O trudnościach, jakie wywołuje zagadnienie regulowania i opanowania wzrastającego stale ruchu ulicznego w wielkich centrach światowych, czyta, mówi i wie się z własnego doświadczenia tyle, że nikomu już nie jest niewiadomem, jak wiele kłopotów mają z tem władze bezpieczeństwa wszystkich bez wyjątku krajów kulturalnego zachodu. Wiadomo także, że problem ten zaczyna już coraz poważniej zaprzątać umysły w Warszawie, gdzie w miarę wzmagania się ruchu samochodowego mnożą się i trudności i wypadki.

Czego natomiast nie wie szerszy ogół, to, że niema może na świecie całym miasta, w którem by zagadnienie to było równie trudnem i groźnem — tak groźnem — jak w Łodzi.

Podczas gdy Warszawie grożą dopiero w bliższej lub dalszej przyszłości trudności, z któremi się będzie musiała uporać sposobami, stosowanemi wszędzie indziej na świecie, w Łodzi już dzisiaj jest bardzo źle. Dla kilku powodów: najprzód dla bezprzykładnej prost wąskości wszystkich bez wyjątku ulic, potem dla najpodlejszych w świecie bruków, a wreszcie dla skoncentrowania całego ruchu na kilku arterjach.

Tramwaj, ten tak ważny i bezwzględnie niezbędny środek lokomocji, nietylko nie łagodzi sytuacji, ale bardzo ją jeszcze utrudnia, gdyż zwęża jezdnie aż do uniedostępnienia ich dla innego ruchu włącznie. Są ulice, po których przejechać w czasie kursowania tramwajów jest bardzo trudno, a na których zatrzymanie się pojazdu konnego lub silnikowego choćby na kilka minut jest całkowicie niemożliwe. Przeprowadzka lub pogrzeb z domów, przy tych ulicach położonych, możliwe są tylko po północy, gdy tramwaje kursować przestają. — Na głównej ulicy, Piotrkowskiej, również korzystać można z lokomocji indywidualnej tylko dla dojechania do miejsca, bo nawet dla najdrobniejszego sprawunku w sklepie zatrzymać się nie wolno. Po załatwieniu takiego sprawunku trzeba szukać swego wehikułu gdzieś na najbliższej przecznicy, hen, po za wszystkiemi stacjonującemi dorożkami lub taksówkami. Nawiasowo tylko zaznaczamy, że to zarządzenie jest bezmyślne, zwłaszcza gdy chodzi o godziny popołudniowe, w których ruch ciężarowy jest wzbroniony, lub o wieczór, gdy wogóle żadnego ruchu niema.

Dla zaradzenia tym trudnościom nie robi się tymczasem nic. Kilku posterunkowych, wymachujących (zresztą przeważnie nieudolnie i bezsensownie) rękami na niewielu skrzyżowaniach ulic nie stanowi środka zaradczego. Jest to co najwyżej pewien sposób profilaktyczny, udaremniający karambole i miarkujący nieco nadmierną fantazję lekkomyślnych wyrostków, kierujących taksówkami. Zresztą, spełniając tę funkcję, policja robi wszystko, co do niej należy i reguluje ruch taki, jakim jest. Zarzucić jej zatem można chyba tylko, że takich skrzyżowań ulicznych z wymachującymi, choćby nieudolnie, posterunkowymi, powinno być więcej.

Prawdziwie jednak troska o możliwe zażegnanie tego grożącego Łodzi w niedalekiej już przyszłości zakorkowania ulic spoczywa na władzach komunalnych, które są w wielkim błędzie, mniemając, że czynią wszystko, co do nich należy, jeżeli dbają o urzeczywistnienie przewidzianego w koncesji stopniowego rozszerzania sieci tramwajowej. To stanowczo nie wystarcza. Obowiązkiem ich jest bowiem przedewszystkiem doraźnie odciążyć ulicę Piotrkowską przez zaopatrzenie arteryj bocznych i przecznic w doskonałe bruki, w drugim rzędzie zaś postawić sobie za zadanie **całkowite zniesienie tramwajów na tej ulicy.** Tramwaje powinny tylko przecinać ulicę Piotrkowską lub przy niej się kończyć, ona sama zaś powinna być otwarta tylko dla ruchu kołowego bez szyn, czyli w dziedzinie komunikacji publicznej, dla autobusów. Rozumiemy, że kolej elektryczna podziemna byłaby lepszem rozwiązaniem, ale rozumiemy także, że jest to i za drogie, i ze względów na teren za trudne, a wobec braku miejsca na wyloty przystankowe, może zgoła niewykonalne. Natomiast jaknajszybsze wykończenie robót kanalizacyjnych na tej ulicy i pokrycie jej porządnym brukiem (tylko niekoniecznie eksperymentalnym) zdaje się nie leżeć poza sferą możliwości. Również objęcie wszystkich dzielnic miasta siecią tramwajową z wyłączeniem ulicy Piotrkowskiej wydaje się już dzisiaj bliskiem urzeczywistnienia. Wreszcie i trudności koncesyjne nie powinny stanowić trudności niepokonalnej, gdyż przywilej, przysługujący Towarzystwu Tramwajów, może łacno być zastąpiony koncesją na eksploatację autobusów przez to samo Towarzystwo. Byłoby raczej nawet bardzo pożądane, by nie kto inny, jak właśnie ono koncesję tę otrzymało, gdyż to nietylko zapewniłoby uzgodnienie rozkładów jazdy i pewną wspólnotę biletów, ale również poręczałoby uruchomienie wozów dobrych i odpowiednich i należytą ich obsługę i utrzymanie.

Rzucamy tę myśl w głębokiem przeświadczeniu, że jest ona nietylko nie przedwczesna, ale przeciwnie, wobec długości czasu, niezbędnego dla jej realizacji, jaknajbardziej aktualna i paląca.

Wacław Paszkowski.



DOGADAŁY SIĘ.

Nad wyraz ciekawe ustępy znajdujemy w dwuch artykułach w „Robotniku" z dnia 7 sierpnia na stronie, zatytułowanej „Matka i dziecko".

W jednym z nich p. Halina Krahelska na całej niemal szpalcie rozpływa się nad rajem bolszewickim: *Najsilniej ręka Rządu daje się odczuwać oczywiście we współczesnej Rosji".* Gdy zważy się, że tak się pisze w związku ze sprawą opieki nad dzieckiem, a przecie wiadomo o dziesiątkach tysięcy dzieci, wałęsających się po ulicach, zamieszkujących po norach i piwnicach, napastujących przechodniów, wiadomo również o jednym z dogmatów bolszewizmu, iż przywiązanie dziecka do rodziców winno być zwalczane, — to nie można w tym panegiryku, zalecającym urządzenia rosyjskie, jako wzór do naśladowania, nie dopatrywać się wymownego wyrazu tęsknot ustrojowych autorki.

W tym samym duchu wypowiada się w drugim artykule silnie, przynajmniej duchowo, spokrewniona z p. Krahelską autorka, podpisująca się Janina:

„Nie jesteśmy apostołami idei solidaryzmu społecznego, nie widzimy ani, poważnie mówiąc, możności ani sensu i celu łagodzenia i klajstrowania antagonizmów klasowych, które są i będą tak długo, jak długo społeczeństwo będzie się dzielić na klasy, jak długo warsztaty i narzędzia pracy pozostaną własnością niewielkiej grupy, podczas gdy nieprzeliczone rzesze zmuszone są w tych warsztatch, temi narzędziami, lecz własną pracą wytwarzać wartości, z których zyski wyciąga właściciel warsztatu".

A dalej, propagując ideę powierzenia opieki nad matką i dzieckiem, autorka ta pisze:

„Dawałoby to nam większą gwarancję umiejętnego prowadzenia tych instytucyj, właściwego ich urządzenia i nie wytwarzałoby niepotrzebnych powiązań pomiędzy najemnikiem i pracodawcą".

Teraz to przynajmniej wiadomo czego p. Krahelska chce i do czego tęskni.

Prawa lekarza

Większość niewtajemniczonych nie zdaje sobie prawdopodobnie sprawy z tego, że lekarz, dokonywując zabiegu operacyjnego, np. amputacji jakiegoś członka, dopuszcza się w gruncie rzeczy „uszkodzenia ciała", przewidzianego w kodeksie karnym. Za to „przestępstwo" lekarz nie może jednak być pociągany do odpowiedzialności, gdyż z drugiej strony państwo udziela mu zezwolenia na wykonywanie jego zawodu i operacja, mająca na celu — nie uszkodzenia — lecz uzdrowienia ciała, należy do obowiązków zawodowych lekarza, nie nosi wobec tego nawet w zrozumieniu czysto prawniczem cech przestępstwa.

Jednakowoż nie zawsze tak jest. Lekarz może być pociągnięty do odpowiedzialności karnej, jeżeli operacji, względnie jakiegoś innego zabiegu bolesnego, dokonał **bez lub wbrew woli pacjenta, a w razie jego niepełnoletności wbrew woli ustawowego opiekuna.** Procesy takie już były i **lekarze zostali skazani.** Niedawno np. przywieziono na wydział chirurgiczny jednego ze szpitali niemieckich siedmioletnią dziewczynę z objawami tuberkulicznego ropienia stopy. Naczelny lekarz tego oddziału stwierdził gruźlicę kości w stopie i orzekł, że amputacja stopy jest konieczna, jeżeli dziecko ma żyć, inaczej bowiem infekcja się rozszerzy i spowoduje śmierć. Ojciec dziecka, fanatyczny zwolennik przyrodolecznictwa i księdza Kneipa, oświadczył chirurgowi wyraźnie, że na żadną operację się nie godzi, gdyż niechce pod żadnym warunkiem dopuścić do tego, by dziecko jego było kaleką. Operacja została jednak dokonana i skończyła się szczęśliwie. Objawy ustąpiły i dziecko można uważać za wyleczone. Mimo to Sąd Rzeszy w ostatniej instancji orzekł winę lekarza w kierunku przestępstwa uszkodzenia ciała.

Sądy wszystkich państw stosują w praktyce taką samą zasadę i traktują jako karalny każdy zabieg lekarski, dokonany wbrew woli pacjenta. Wyłom w tej zasadzie stanowią przepisy ustawodawcze niektórych państw o zwalczaniu pewnego rodzaju chorób, szkodliwych ze stanowiska społecznego. Przepisy te przewidują często **przymus leczenia** i przymus ten jest przez specjalne organa władzy państwowej wykonywany w ten sposób, że osoba, u której stwierdzono taką chorobę, zostaje **pod przymusem osadzona w szpitalu** i trzymana tam aż do wyleczenia. Jednakże i w takich wypadkach lekarz może stosować tylko środki, ściśle w ustawie wskazane, a jeżeli zachodzi konieczność zastosowania środka innego albo jakiegoś poważniejszego zabiegu, bez zgody pacjenta, jest to niedopuszczalne.

Pozatem jest jeszcze jedna kategorja wypadków w praktyce lekarskiej, gdy zabieg operacyjny może być dokonany bez woli chorego. Mianowicie **nieszczęśliwe wypadki i samobójstwa.** W takich wypadkach lekarz z reguły staje wobec pacjenta nieprzytomnego i niezdolnego objawić swojej woli a rzadko kiedy jest czas zasięgać opinji i pozwolenia ustawowego opiekuna. Lekarz wtedy stosuje zabieg, jaki w danym momencie uważa za najodpowiedniejszy. Ale nawet w nowszych kodeksach niema wyraźnego przepisu, na który lekarz mógłby się w podobnych wypadkach powołać. W gruncie rzeczy pacjent lub jego opiekun ma prawo do pociągnięcia lekarza do odpowiedzialności. Nikt tego jednak nie czyni ze zrozumiałych powodów. Niemniej jednak przepis taki powinienby istnieć.

Zupełnie nieuregulowana jest także sprawa t. zw. **transplanacji i transfuzji,** t. j. przenoszenia n. p. płatów skóry, wyciętych zdrowemu człowiekowi, na rany człowieka chorego, względnie **przelewania krwi** z organizmu zdrowego do organizmu chorego. W praktyce przyjmuje się, że zgoda osoby pełnoletniej na wycięcie sobie płatu skóry lub upuszczenia krwi najzupełniej zwalnia lekarza od wszelkiej odpowiedzialności. Mogą jednak zajść w takich wypadkach nieprzewidziane komplikacje, dzięki którym lekarz mógłby jednak być pociągnięty do odpowiedzialności, dlatego i ta sprawa powinnaby być uregulowana w ustawodawstwie. Tembardziej, że łączy się ona ściśle z inną, niezmiernie doniosłą sprawą, mianowicie z **prawem dokonywania eksperymentów naukowych na ludziach.** Dotychczas nauka medycyny jest w tej dziedzinie bardzo silnie skrępowana możliwością karnej odpowiedzialności i przeważnie **nie może nawet korzystać z gotowości pacjenta poddania się eksperymentowi.** Z uwagi na to, że dokonywanie eksperymentów naukowych w medycynie ma na celu tylko służenie dobru ludzkości, byłoby niezmeirnie pożytecznem, aby pod pewnemi warunkami umożliwiono przedstawicielom nauki lekarskiej dokonywania takich eksperymentów. Oczywiście zgoda pacjenta musiałaby być pierwszym z tych warunków.

Lekarz korzysta z wielu niepisanych praw i przywilejów, państwo zezwala mu milcząco na czyny, dla których niema formalnego usprawiedliwienia, a prokurator zamyka często oczy na wypadki oczywistego przekroczenia ustaw o ochronie zdrowia i życia ludzkiego, przyjmując, że lekarz dopuścił się tego przekroczenia właśnie w interesie ochrony zdrowia i życia ludzkiego. Zrozumiałem przeto jest, że państwo wzamian zato bardzo sumiennie i troskliwie postępuje przy udzielaniu prawa wykonywania praktyki lekarskiej i surowo karze każdego, kto, niemając ku temu aprobaty ze strony państwa, chciałby występować w roli lekarza i wykonywać praktykę lekarską.

***

Niemi odzyskali mowę

Jedną z najcięższych operacyj jest operacja krtani i wycinanie strun głosowych przy chorobie raka. Operacja ta stanowi ostateczny środek ratunku i gdy się nawet udaje, chory traci raz na zawsze mowę. Obliczono, że w Niemczech żyje obecnie 600 ludzi, którzy przeżyli tą operację i chodzą niemi z otwartemi dziurami na miejscu krtani. Dla ludzi tych zabłysła nadzieja. Dr. Mackenty, najsławniejszy dzisiaj na świecie chirurg wynalazł przyrząd, który przywraca tym nieszczęśliwym mowę. Czternaście takich aparatów jest od roku w użytku. Doświadczenia, poczynione przez ten czas, zostały zastosowane przy konstrukcji nowego aparatu ulepszonego, który zdaje się odpowiadać wszelkim wymaganiom, gdyż jest w stanie modulować głos ludzki do najdelikatniejszych odcieni, podczas gdy dotychczasowe aparaty tej modulacyjnej zdolności nie miały i głos mówiącego był zawsze jednostajny. Aparacik ten podobny jest do odwróconej fajki. Dolna jego część w postaci poduszeczki gumowej zakrywa otwór pooperacyjny w krtani. Z poduszeczką połączona jest zakrzywiona srebrna rurka, którą przytyka się do ust. W pewnem miejscu tej rurki znajduje się cieniutka błonka gumowa, która zastępuje struny głosowe. Gdy człowiek wprowadza w ruch mięśnie tchawicy tak, jakby chciał mówić, błonka gumowa zaczyna drgać tak jak dawniej drgały struny głosowe. Mówienie takie wymaga pewnego ćwiczenia, po nabraniu wprawy możliwem staje się jednak wymawianie nawet najtrudniejszych spółgłosek.

ŻEGLUGA POWIETRZNA

Walka pomiędzy sterowcem a samolotem. — Kto był pierwszym konstruktorem Zepelinów? — Sterowce—olbrzymy do celów komunikacji transatlantyckiej

W Friedrichshafen, nad jeziorem Bodeńskiem, odbyła się niedawno uroczystość chrzcin nowego niemieckiego Zeppelina, prze znaczonego do celów komunikacyjnych i **do żeglugi powietrznej zamorskiej.** Uroczystość, wbrew zwyczajom niemieckim, odbyła się tym razem po cichu, bez żadnej dziennikarskiej reklamy i w obecności stosunkowo nielicznego grona osób ze sfer lotniczych, które podówczas zgromadziły się w Friedrichshafen na kongresie niemieckiej żeglugi powietrznej.

Nowy ten sterowiec niemiecki posiada pojemność **105.000 metrów sześciennych** i jest przeto znacznie **większy** od głośnego sterowca Z. III., który drogą powietrzną, ponad oceanem atlantyckim, odstawiony został do Ameryki, by pod zmienioną nazwą „Los Angelos" wejść w skład wojskowej floty powietrznej Stanów Zjednoczonych.

Fachowcy oczekują obecnie z wielkiem napięciem dalszych rezultatów walki, jaka toczy się od dłuższego czasu pomiędzy balonem sterowym a samolotem. ceszcze nie tak dawno zdawało się, że samolot niema większej przyszłości i że dla pokonywania dalszych przestrzeni powietrznych nadaje się tylko balon. Po wojnie nastąpił gwałtowny rozwój samolotu, ukoronowany szeregiem przelotów ponad oceanami na rekordowych przestrzeniach **do siedmiu tysięcy kilometrów.** Nad lądem udało się pokonać jeszcze większe odległości bez lądowania i doprowadzić czas utrzymania się samolotu w powietrzu **do 60 godzin.** Kazało to na pewien czas zapomnieć o balonie. Mimoto w ostatnich latach zaznacza się na nowo silne ożywienie w dziedzinie budowy i konstrukcji balonów sterowych. Prawie wszystkie wielkie państwa budują w chwili obecnej olbrzymy powietrzne, zdolne dokonywać najdalszych podróży. Oprócz wspomnianego niemieckiego Zeppelina, który w najbliższych tygodniach rozpocznie swoje próbne loty, niebawem ukończona zostanie w Anglji **budowa jeszcze większego statku powietrznego,** o pojemności 150,000 metrów sześciennych, na którego pokładzie znajdować się będzie nawet **sala balowa dla uprzyjemnienia pasażerom podróży,** a Stany Zjednoczone posiadają gotowe plany dla jeszcze potężniejszych konstrukcyj i to dla celów wojskowych. Według informacyj, jakie o tych planach amerykańskich przedostały się do wiadomości szerszych sfer lotniczych, powietrzne te kolosy posiadać będą specjalne platformy, na których mieścić się będzie po kilka samolotów lądowych, które z tych platform będą mogły w czasie lotu startować, wykonywać powierzone im zadania bojowe i potem wracać na nie. Będą to więc powietrzne „awiomatki", podobnie jak posiada je marynarka wojenna w postaci specjalnych okrętów wojennych, których górny pokład zbudowany jest jak lotnisko i posiada wszelkie warunki i urządzenia do startu i lądowania samolotów.

Zdaje się jednak, że **ostateczne zwycięstwo odniesie samolot,** a to głównie z tego powodu, że stosunek rozmiarów samolotu do ładunku, jaki jest w stanie unieść, jest korzystniejszy niż przy balonie sterowym, a tem samem i **koszta komunikacji samolotowej są o wiele niższe niż koszta komunikacji balonowej.** Decydujące będą tutaj próby z będącymi już w budowie pierwszymi **samolotami - olbrzymami,** zaopatrzonymi w **sześć do dwunastu motorów po kilkaset koni każdy.** Budowa jednego z takich olbrzymich ptaków jest już na ukończeniu. Buduje się on również w Friedrichshafen na stoczni **zakładów lotniczych Dorniera,** należących do koncernu Zeppelina. Samolot ten, a raczej okręt latający, gdyż będzie to olbrzymia kryta łódź, zaopatrzona w potężne skrzydła, posiadać będzie **dwanaście motorów** i pomieścić będzie mógł **60 pasażerów.** Jedną z pierwszych podróży tego samolotu będzie podróż do Ameryki i jeżeli podróż się uda, natychmiast podjęte zostaną **przygotowania do otwarcia stałej komunikacji powietrznej pomiędzy Ameryką i Europą** na takich samolotach.

Nie brak jednak pesymistów, którzy sceptycznie patrzą na te wysiłki i nie wierzą, by przy pomocy samolotów można całkowicie rozwiązać problem komunikacji powietrznej transatlantyckiej. Twierdzą oni, że nawet tak potężne machiny latające nie będą w stanie przeciwstawić się **sile burz i wiatrów, szalejących nad otwartem morzem,** tembardziej, że przeciążone ładunkiem i własnym ciężarem nie będą mogły szukać schronienia i spokojniejszej drogi w wyższych strefach atmosfery. Zdaniem ich tylko balon sterowy posiada maximum warunków do rozwiązania tego problemu i tylko on gwarantuje maximum regularności takiej komunikacji. Pesymiści ci podnoszą jeszcze i to, że nawet największy i w najsilniejsze motory zaopatrzony samolot w razie poważniejszego defektu, gdy opuści się na fale morskie, tylko przy spokojnem morzu, będzie miał szanse ponownego wzniesienia się w powietrze, zaś przy morzu burzliwem **stanie się igraszką fal i pójdzie na dno.** Powołują się przytem na doświadczenia, poczynione z t. zw. **ślizgowcami.** Aparaty te zbudowane w kształcie wiekich pływaków, zaopatrzone w krótkie skrzydła i bardzo silne motory, miały z szybkością ponad sto kilometrów na godzinę ślizgać się po powierzchni oceanu, przyczem nawet wzburzone morze nie miało stanowić dla nich przeszkody gdyż, mając skrzydła, muskałyby tylko czubki fal, unosząc się na pół w powietrzu. Okazało się jednak, że żaden z tych ślizgowców nie wytrzymał nawet słabo przez wiatr pomarszczonego morza i żaden też nie mógł pokazać się na otwartem morzu, gdyż **pierwsza większa fala przewracała aparat** i czyniła go niezdolnym do dalszej drogi. Taki sam los musiałby spotkać każdy samolot, gdyby opuścił się na pełne morze.

Niedaleka przyszłość przyniesie bardzo ciekawe wyniki i zadecyduje na jakiś czas o kierunku, w jakim pójdą wysiłki techniki, zmierzające do rozwiązania problemu komunikacji powietrznej poprzez morza.

* * *

Z okazji chrzcin nowego Zeppelina, prasa niemiecka poświęciła sporo miejsca hrabiemu Zeppelinowi, uważanemu za twórcę balonu sterowego. Nigdzie jednak nie było wzmianki o człowieku, którego pomysły w dużej mierze przyczyniły się do sukcesów Zeppelina. Człowiekiem tym jest **żyd węgierski, Dawid Szwarc,** którego losy zasługują na chwilę uwagi. Kilka szczegółów publikuje ostatnio berliński tygodnik „Weltbühne", za którym je przytaczamy.

Szwarc był handlarzem drzewa i przedsiębiorcą leśnym. W związku ze swoim zawodem zmuszony był często spędzać tygodnie całe w lasach, mieszkając w szałasie, lub jakimś samotnym domku. Ponieważ dużo czytywał, brał zawsze ze sobą na taki pobyt paczkę książek. Pewnego razu zabrał jakiś popularny podręcznik techniczny. Czytając go, zapałał chęcią zbudowania statku powietrznego w ten sposób, by zamiast tkaniny, użyć metalu na powleczenie korpusu balonowego. Opętany tą myślą, zaniedbał swoje interesy leśne i zamienił dom swój na laboratorjum, poszukując metalu, któryby najlepiej nadawał się na powłokę balonową. Wreszcie wpadł na aluminium. Pasja wynalazcza ogarnęła go do tego stopnia, że porzucił wszystko i **poszedł jako robotnik do pewnej fabryki aluminium,** aby mieć sposobność dokonywania prób nad wytrzymałością tego metalu. W czasie tej pracy wynalazł **sposób lutowania i spajania aluminium,** co przedtem uważano za niemożliwe. Wynalazł także oryginalny sposób konstrukcji wewnętrznego belkowania w korpusie balonowym, na którem naciągnięta miała być powłoka aluminjowa. W roku 1890 przedłożył swoje plany w austrjackiem ministerstwie spraw wojskowych do rąk ministra Krieghammera, który ocenił je jako nader interesujące i możliwe do wykonania, jednak zrezygnował z propozycji nabycia ich, tłumacząc się brakiem funduszów na ten cel. W międzyczasie jednak w Wiedniu zaczęto mówić o planach Szwarca. Zainteresował się tą sprawą **rosyjski attache wojskowy w Wiedniu i skłonił** Szwarca do wyjazdu do Petersburga. Tam otrzymał potrzebne środki i wybudował pierwszy swój okręt powietrzny dla armji rosyjskiej. Wśród najcięższych warunków odbyły się dwie pierwsze próby. Dopiero w powietrzu podano Szwarcowi kierunek, w jakim statek ma lecieć, lecz mimo to próby się powiodły. Miała nastąpić trzecia, ostateczna. W przeddzień Szwarc dowiedział się, że powzięto zamiar zaaresztowania go jako niebezpiecznego szpiega autsrjackiego. W nocy, w przebraniu i za fałszywym paszportem, udało mu się zbiec. Przedtem jednak **zniszczył swój balon.**

Zkolei zjawia się **w Berlinie** i znajduje niezwykle gościnne przyjęcie w departamencie powietrznym ministerstwa wojny. Zbudowano dla niego specjalny hangar i warsztat na lotnisku Tempelhof. W roku 1896 miała się odbyć pierwsza próba w obecności cesarza. Próba jednak nie doszła do skutku w pierwszym terminie, gdyż przybył do Berlina car rosyjski na manewry śląskie i cesarz nie mógł być w tym czasie obecny przy próbie. Nareszcie dnia **13 stycznia 1897 r.** nadchodzi depesza, że wszystko do próby jest przygotowane i że gaz do napełnienia balonu jest już w drodze. W tym momencie największej radości **Szwarc ze wzruszenia dostaje ataku sercowego i pada martwy.**

Na widowni pojawia się teraz jego żona **Melanja Szwarc,** matka trojga dzieci nieletnich. Przygotowuje wszystko do mającej się odbyć próby. W ostatniej chwili ministerstwo wojny wydaje rozkaz, **zabraniający oficerom udziału w próbnym locie tego statku.** Szwarcowa jest w rozpaczy, gdyż niema nikogo, kto poleciałby na statku w powietrze. Po rozpaczliwych poszukiwaniach znajduje nareszcie — na swoje nieszczęście — jakiegoś czeladnika ślusarskiego, który służył w oddziałach lotniczych i zgodził się sterować statkiem w czasie próbnego lotu.

Statek uniósł się dumnie w powietrze, zatacza kilka kręgów i naraz **gwałtownie zaczyna się opuszczać.** Co się stało? Oto pas zesunął się z koła rozpędowego motoru — drobnostka, łatwa do naprawienia w ciągu kilku sekund. Ale niedoświadczony żeglarz, przestraszony, otwiera wszystkie wentyle, wypuszcza gaz i **ląduje nieszczęśliwie...**

Pomiędzy widzami, przyglądającymi się próbie, znajdował się także **hrabia Zeppelin,** który od szeregu lat pracował nad planami statku powietrznego. Zawiera znajomość z Szwarcową i sprowadza ją do Sztutgartu, gdzie zawarte zostały między nim a nią układy, mocą których **Zeppelin nabył prawo zużytkowania planów Szwarca.** Zeppelin udoskonalił i rozwinął plany Szwarca i doprowadził konstrukcję swoich balonów sterowych do ich późniejszej doskonałości.

Ale i Zeppelin musiał walczyć z olbrzymimi trudnościami. **Katastrofa następowała po katastrofie.** Sfery oficjalne odwróciły się od niego, a Wilhelm słyszeć nie chciał o nim. Niełaska ta i niechęć trwały długo. Dopiero po kilku latach Zeppelin zdobył sobie uznanie i **cesarz był zmuszony własnoręcznie przypiąć mu order „Orła Czarnego".** Ceremonja ta połączona była z uściskiem, jaki wymienił cesarz z odznaczonym. Ówczesne pisma satyryczne niemieckie pełne były karykatur, podrwiwających z Wilhelma, biorącego z kwaśną miną w ramiona człowieka, którego przedtem nie uznawał i którego wykpiwał.

Zeppelin dawno nie żyje i nie było mu danem oglądać najwyższego triumfu swojego dzieła, transatlantyckiej podróży swego sterowca.

Na doświadczeniach Zeppelina opiera się dzisiaj cała technika w budowie sterowców.

* * *

Podbój powietrza trwa nadal i pochłania coraz to nowe ofiary. Ludzkość jednak nie ustaje w tym boju i nie ustanie, aż nie ujarzmi powietrza tak, jak ujarzmiła wody oceanów. Dotychczas jednak ta walka z powietrzem toczy się **zbyt blisko ziemi,** bo w granicach **do 7 tysięcy metrów.** Ponad tę górną granicę nie wznosi się żaden samolot ani balon, poza nielicznemi chwilowemi próbami. A jednak zdaje się, że tam właśnie, woza granicą 10 tysięcy metrów, tam gdzie powietrze jest już przerzedzone i panuje coraz większa **cisza, wolna od burz,** stoczona zostanie decydująca walka i zdobyte zwycięstwo.

Stanisław Horwat.

---

biegami różnych szarlatanów, skórę niezdrową, mięśnie wiotkie i słabe...

— To panu się tylko zdaje — wtąciła Syrena, chmurna i nadąsana — mężczyźni nie są wcale tak krytycznie usposobieni. Oni też hołdują modzie chudych i kusych garsonek...

— Ale tylko do pewnego stpnia. Mam być zupełnie szczery? Mężczyźni składają konwencjonalne, kłamliwe hołdy salonowym lwicom o wystających obojczykach i chudych piszczelach, bo tak każe snobizm, utożsamiany niekiedy z dobrem wychowaniem...

Ale ich gorące, strzeliste afekty, ich szczere zachwyty, ich pożądliwe spojrzenia idą ku innym. Może mniej strojnym, mniej efektownym, mniej „dernier cri", ale zato zdrowszym, naturalniejszym, pełnym kobiecego powabu kwitnących ciał...

Co do mnie — żadna kobieta w życiu nie podobała mi się tak, jak pewna młoda włoszka, spotkana w górach Sabaudzkich. Miała na sobie tylko koszulkę i biedną, połataną spódniczkę.

A piękna była, jak sen poety, jak marzenie rzeźbiarza greckiego, jak dzika boginka rozkoszy...

Syrena uśmiechnęła się krzywo.

— Jeśli tylko o to chodzi — rzekła — żeby mieć na sobie połataną spódniczkę, to może znajdzie się coś takiego w garderobie mojej Marysi.

— Widzę, że z panią niemożna dziś rozmawiać poważnie — rzekłem z godnością — żegnam panią!

— Niech pan nie gniewa się na mnie — spojrzała czarownie, gdy schylałem się do jej rąk — i niech pan przyjdzie koniecznie po południu. Muszę nauczyć się pływać i wiosłować. Wybierzemy się razem na Wisłę. Zgadza się pan?

— Z naimilsza chęcią, łaskawa pani!

L. Brun.

Orzeczenie w sprawie zatargu Farmaceutów Kasy Chorych w Łodzi.

OKRĘGOWY URZĄD UBEZPIECZEŃ
w WARSZAWIE.
№ 2758|28.

Warszawa, dnia 7 sierpnia 1928 r.

ORZECZENIE

w sprawie zarzutów, zawartych w odezwie do ogółu ubezpieczonych w Kasie Chorych m. Łodzi, podpisanej przez Komitet Wykonawczy Pracowników Aptek Kasy Chorych m. Łodzi, a skierowanej przeciw Zarządowi tej Kasy.

W myśl p. 2 protokółu konferencji przedstawicieli Zarzadu Kasy Chorych m. Łodzi i Centralnej Organizacji Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych, zastępującej pracowników aptecznych Kasy Chorych m. Łodzi, odbytej w dniu 26 lipca 1928 r. w Okręgowym Urzędzie Ubezpieczeń w Warszawie, Okręgowy Urząd Ubezpieczeń w Warszawie, działając na podstawie powyższego postanowienia konferencji, po przeprowadzeniu przy współudziale Delegata Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (Departament V Służby Zdrowia) do Okr. Urzędu Ubezpieczeń, na podstawie art. 100 i 99 ustawy z dn. 19. V. 1920 r. (Dz. U. R. P. № 44, poz. 272) dochodzeń, orzeka co następuje:

1) zarzuty postawione Zarządowi Kasy Chorych m. Łodzi, w odezwie „Do ogółu ubezpieczonych Kasy Chorych m. Łodzi", podpisanej przez „Komitet Wykonawczy Pracowników Aptek Kasy Chorych m. Łodzi" były przejawem walki, wszczętej przez pracowników Farmaceutycznych Kasy w związku z pismem okólnem Nacz. Lekarza Kasy Chorych z dn. 11 czerwca 1928 r. L. dz. 1882|I. do pp. Lekarzy Kasy, Urząd stwierdza, iż Zarząd Kasy w omawianej sprawie nie wydawał żadnych zakazów i nakazów, nie będąc do tego uprawnionym. Natomiast omawiane pismo Naczelnego Lekarza leżało całkowicie w granicach jego kompetencji, jako szefa lecznictwa kasowego i jako lekarza.

2) Zarzut, dotyczący tego pisma, że „nakaz Zarządu Kasy spowodował wydawanie chorym lekarstw, kilka dni przedtem przygotowanych, a więc zupełnie zepsutych", w związku z twierdzeniem, iż „lekarstwa przygotowane całemi balonami bardzo szybko ulegają zepsuciu, temsamem zamiast pomóc choremu, pogarszają tylko stan jego zdrowia", nie został udowodniony i stwierdzony. Zarówno Zarząd Kasy Chorych, lekarze kasowi, kierownicy aptek, jak i państwowe władze nadzorcze i Okręgowy Urząd Ubezpieczeń Delegat Departamentu Służby Zdrowia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych — Naczelnik Wydziału Zdrowia Wojew. Łódzkiego nie otrzymały ani jednego zażalenia o szkodliwych dla zdrowia następstwach po użyciu leków, podanych w piśmie okólnem Naczelnego Lekarza Kasy Chorych m. Łodzi.

Zarzuty powyższe okazały się więc bezpodstawnemi.

3) Wspomniane pismo Naczelnego Lekarza nie stwarzało dla lekarzy kasowych przymusu „zapisywania chorym tylko takich jednakowych, zgóry przygotowanych mikstur", a przesłuchani lekarze stwierdzili, iż mieli zupełną swobodę w zapisywaniu innych lekarstw w wypadkach, gdy stan chorego tego wymagał i faktycznie tak czynili. Przytoczone więc w tym ustępie zarzuty okazały się również nieuzasadnionemi.

4) Urząd stwierdza, że postępowanie Kasy Chorych m. Łodzi i jej Naczelnego Lekarza w związku z masowemi zachorowaniami na grypę, podyktowane było troską o dobro chorych członków Kasy i ich rodzin, zaś zarzuty, zawarte we wzmiankowanej odezwie, jako bezpodstawne, wyrządziły moralną krzywdę i naraziły na szwank dobre imię Kasy Chorych m. Łodzi.

DYREKTOR:
(—) Podpis nie czytelny.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

LEGENDA O ŻYCIU

Z powodu rocznic sierpniowych

W ciszy i rozgwarze pracy organicznej, tej pracy, którą od lat dziesięciu możemy wykonywać w normalnych warunkach politycznych i której efekty są większe niż się zdaje, gubi się w przepychu rzeczy dokonanej i w labiryncie potrzeb kapitalna sprawa. Polaków: zagadnienie samowiedzy ideowej. Odchodzą już w cień różnie zasłużonego odpoczynku ci i owi działacze przedwojennej epoki, traci charakter bodźca tradycja martyrologiczna, przybywa ludzi bez wspomnień z domu niewoli, wieją przez wszystkich i wszystko te prądy światowe, które są dla wolnych, i powstaje nowa tradycja w naszych duszach a w naszych oczach. Powszechna jest żywa troska o to, aby przez odrzucanie rozmyślnie się nie zubożyć, aby przez przejmowanie rozmyślnie się nie wykrzywić. Przytłacza wszystkich ogrom bezskutecznych sporów o formę, o wartość przesądu, o prawo decyzji, o tytuł do reprezentowania, a przedewszystkiem o taki czy inny monopol, sporów, towarzyszących zazwyczaj pierwszym godzinom wolnego bytowania, narodzinom poczucia odpowiedzialności. Ten chaos pozorny sprawia, że nieśmiało patrzymy w oczy prawdzie radosnej o naszej sile i naszej idei, że jej nie formułujemy, że wahamy się, czy ją umieścić w naszych programach...

Te refleksje nasuwają się właśnie w sierpniowe, ciepłe dni dwu wojennych rocznic: powstania legjonów Piłsudskiego i zwycięskiej bitwy nad Wisłą.

* * *

Wołaliśmy wprawdzie w roku 1914 przez usta poety, że „na wszyskich frontach od siwej Wisły, aż po Ren, przy zapalonych stojąc lontach, my swój o Polsce śnimy sen", — ale miljon głosów nie stał się jednym głosem. W zamęcie i bezdomności żołnierza - Polaka nie narodziła się idea związku; tę ideę wysunęły zuchwale Legjony. Dzisiaj, gdy minęły już najgłupsze głupstwa wojny, powiedzieć trzeba z powagą, że Józefowi Piłsudskiemu zaufało w roku 1914 wielkie grono rodaków, którym hart ducha lub okoliczności sprzyjające pozwoliły zregenerować przed sierpniem 1914 roku wolę wskrzeszenia z tej ziemi — państwa własnego. Nie jest mniej wspaniały, niż bohaterskie krwawienie Legjonów, ten wielki pochód miljona Polaków do idei przez Legjony postawionej i do polskiego koła żołnierskiego. Miljonem dróg, miljonem wzlotów, w chmurze rozmaitych sztandarów dotarli do celu tęskniący. W roku 1920 odnieśli oni zwycięstwo na polu walki. Tej sprawy nikt już nie pomniejszy. Wystarczy ułożyć kronikę słowy prostemi, aby rzecz całą dobrze zrozumiało dziecko, właśnie i przedewszystkiem ono.

* * *

Inaczej było z rządem. Przez pełnię praw obywatelskich pokolenia, które znalazło się w Polsce w roku 1918, wypowiedział się dobrym tuzinem mętnych prawd — bezgłowy bóg-przypadek. Ludzie, którzy rządzili, a byli między nimi wielce sprawiedliwi, w gruncie rzeczy nie mieli oparcia w narodzie. Potworne techniczne trudności rządzenia oddawały ich na pastwę ludzi małych. I chociaż z niczego, wykształcał się, biologicznie niejako, organizm państwowy, — to jednak wśród prac niepospolitych i wysiłków niebylejakich nie wiązały się w jedno nasze państwowotwórcze wartości i czyny. Niestety, nie porwał nas wicher idei w ten wir ambicyj cywilnych, nie stała się nasza miłość ojczyzny aniołem stróżem politycznego programu pokolenia. Właśnie dlatego zadanie najistotniejsze przetworzenia elementu rządzącego w Polsce spadło na Legjony.

* * *

Dzisiaj przeżywamy niezmiernie ważny, a w dziejach narodów niezwykły etap doskonalenia się państwa. Twórcy legendy, zwycięzcy w boju żołnierze, tak długo posłuszni innym, rozbudziwszy w sobie małą dotychczas żądzę władzy, — rządzą narodem energicznie i stanowczo. Wokół nich skupiają się, miljonem dróg, do wyraźnego celu zdążając, ludzie rozmaici. W mozole i w rozpędzie, w różnych miejscach szerokiego frontu, wykluwają się wśród głupstw i dzieciństw początki prawdziwego programu pokolenia. Wszystkie nieomal hasła i formy organizacyjne mkną wbrew woli swych wyznawców ku słońcom pałającym. Wszystkie kłamstwa i gry wywracają się i obracają przeciw graczom. W kłótni zaznacza się zbliżenie. Tylko się jeszcze nie tworzy legenda.

* * *

Inaczej wygląda wpływ zwycięskich Legjonów, niż Legjonów złamanych. Dlatego właśnie, że legenda Piłsudskiego jest legendą zwycięstwa, — jest ona niebezpieczna: zamiast hasła „przeciw nadziei" przeinacza na „ponad nadzieję". Albowiem stwierdzamy ciągle, że najaktualniejsza jest dla nas, zwycięskich Polaków, sprawa pośpiesznego zwiększania kwalifikacyj, sprawa opanowywania godziny, dnia, roku i długich lat. To się dopiero zaczęło, tego jest jeszcze mało. Jutro dopiero, najwcześniej jutro urośnie o tem pieśń gminna. Ogromny wysiłek myślowy musi być dokonany — tak odważnie, jak odważnie dokonał się bezpaństwowy czyn Legjonów i państwowa ofensywa armji 1920 roku. Czyżby dowodu wymagała teza, że bodźcem być tu musi wojenna nasza legenda. Bodźcem do uchwycenia tradycji cywilnych rządów w Polsce złotego wieku?

* * *

Nurt życia w Polsce jest z dniem każdym prędszy i szerszy. Oszałamia; zdaje się wyłamywać z jarzma myśli i z pod opieki serca. Jednych zachwyca; ci kłaniają się genjuszom. Innych przygnębia; ci złorzeczą genjuszom. Z grobów szarych żołnierzy legjonowych, z cmentarzy armji polskiej idzie wielkie wołanie ku żywym, aby między morzem i górami, nad Wartą, Wisłą i Wilją nie bali się jutra, myśleli o jutrze i wiedzieli, jakiego jutra chcieć, jakie tworzyć.

* * *

Nad temi grobami stanie w sierpniowe ciepłe dni największy z Polaków — Józef Piłsudski. Wyrazi im wdzięczność narodu, którego postawa wobec życia jest zdobywcza..

Zygmunt Lorentz.

Lis i wiewiórka

(Bajka)

Dokąd tak bieżysz bez wytchnienia,
Jakbyś się bał własnego cienia?
Wiewiórka lisa pyta.

Ach mój przyjacielu,
Cierpię od wielu
Oczerniają mnie i kwita!
Ciepię bez winy, prześladują gonią
A tylko niewinność mą bronią.

Za cóż to? —

Ach, wiesz, gdy w kurniku
Rozjemcą zawsze sprawiedliwym byłem,
W ciągłym trudzie i znoju,
Nie mając chwili spokoju,
Wśród zgiełku i krzyku,
Zdrowie w pracy społecznej straciłem —
Ni snu ni jadła,
Praca dla innych, wytchnienia ni krzyny...
Plotki!
Któżby, jak nie dewotki?!

Zaraza by na nie padła!!

No, powiedz sama, czy wierzysz z ochotą,
Co o mnie plotą...
No, no... że brałem łapówki...
Biorę nieba na świadka, że ani złotówki!
Bez skazy
I zmazy

Jestem, bez winy...

No, powiedz, czy są przyczyny?

Mój luby, widziałam ja często
I gęsto,
Że miewasz na pysku pierze
Więc jak każde zwierze,
I ja ci nie wierzę.

* * *

Tak bywa...
Czasem poniektóry
Zda się, że ostatni szeląg dobywa,
Że w kieszeni dziury...
Nic niema, nic nie zarabia, źle mu jest na świecie.
Płacze i wzdycha.
Ale z cicha:
I domek sobie kupił gdzieś tam na powiecie,
Lub ośrodek, to placyk — lecz o tem ni dudu,
Bo nużby gniew ludu...
I na to ci przysięże,
Że końca z końcem nie zwiąże...
A tak się ubierze,
Że nikt nie spostrzeże,
Że zawsze ma na pysku pierze.

Mieczysław Kępiński z Kryłowa.

Rezonerstwo na zabawie

Dzień warszawski wstaje teraz zmęczony, z szarem niedospaniem na źrenicy. Potem rozwleka się praca poprzez godziny ciężkie, niecierpliwe albo zhistoryzowane. Południe mruży oczy do słońca, jak leniwy kot i dopiero wieczorem wychodzi się na łowy. To znaczy: szuka się zabaw, rozrywek, atrakcyj.

Po mieście wloką się więc reklamowe wózki i tłuste ponny patrzą na ludzi z pogardą. Są też i auta wrzeszczące, plakatami, a nawet wagony na szynach tramwajowych łopocą płótnami, jak cyrkowe budy. Ogłaszają się tak do wyboru odświeżane arcydzieła kinowe i Dolores del Rio nastawia do pocałunku swoje kapryśne usta. Jakieś muzykalne ogródki i na dychawicę cierpiące kabarety przyrzekają więcej, niż dusza ludzka zniesie. A właśnie na olbrzymich płótnach rozplotły się pióropusze indjańskie i skośnooka gęba, trochę zbójecka, a trochę znudzona ogłasza — Luna Park!

Oczywiście odrazu roześmiał się nam szczebiotliwy Wiedeń i jakiś przepadły już w niepamięci niedzielny dzień Prateru. Była wtedy wojna na wschodzie i na zachodzie, a inwalidzi dawno już straszyli wiedeńczyków trupiemi twarzami i najwymyślniejszem kalectwem. Mimo to kręciła się karuzela w niepowstrzymanem szaleństwie, a ochrypłe głosy obwoływały zdrowie śmiechu. Świecił się też niejeden żołnierski urlop na drewnianym koniku i przy tarzy celowało się karabinem bez wrogich zamiarów. Nie można tam było przytrzymać swojego smutku, który ciężył sercom i karmił się na codzień komunikatami wojennymi, czy różową karteczką z dalekich frontów. Trzeba tu było pozwolić ustom na grymas śmiechu, a mózg odprężał się w bezmyślności.

Tak to właśnie było w ten ważny, wojenny czas, roztrzepotany wiatrami i przeciągami wiedeńskich ulic. Kanał Dunaju krajał się w fale, niby w oleiste skiby, a na Praterstertnie columna rostrata (Thegetoffdenkmal) parła się ku niebu bezpowrotnem już zwycięstwem. Nasz bezpański, uchodźczy żywot nie umiał wtedy podołać tęsknotom i nadziejom i codzień kreśliło się na mapie swoje marzenia wsparte o góry karpackie, o Wisłę, Dniestr, Jeziora Mazurskie. Gorącą, rozedrganą dłonią przykrywało się ziemie polskie, zgarniając je w kształt państwa, które będzie.

Kolorowy pióropusz Indjanina przypomniał więc to, co było bezustanną myślą tylu miesięcy i tylu lat, co waliło w głuche noce wiedeńskie trwogą i rozpaczą, aby niekiedy stawać się za dnia niewątpliwą wiarą i twardą pewnością, że nic nie jest nadaremne, a biały, gnuśny orzełek na znaczku NKN jest już gdzieś — Wielkim Orłem.

Lecz tu na warszawskim bruku, w taki letni wieczór, dopraszający się o bylejaką rozrywkę, dawne burze przeciągnęły przez wspomnienie krótką falą i pospolite obywatelstwo złożyło rychło swoje szare skrzydełka. Poprostu — postanowiliśmy zwiedzić Luna Park na Pradze.

Przez sznur latarń na moście Kierbedzia przeplata się Warszawa ku praskim bulwarom. W Wiśle płucze się blask miasta, więc rzeka jest płomienna jak lawa, a cienie na niej są niby dymy. Wszystko wydaje się inne i w dudnieniu mostu jakby groźniejsze. Żelazne sploty barjery urastają w garby łuków, a niebo odbiegło wysoko i jarzy się miejskim brzaskiem.

Przez praski park idzie się, jak przez bajkę, bo w źle oświetlonych alejach chmurzy się tajemnica i niewiadome są kołowroty ścieżek, rozbiegłych w głębi od klombu do klombu. Na przechodniach zapala się i gaśnie blask nielicznych latarń, więc tylko szepotanie kroków prowadzi naprzód. Potem pachnie już świeżem, sosnowem drzewem ogrodzenie Luna Parku, a przy kasie waruje czyjaś twarz, rozróżniając bezapelacyjnie dorosłych od dzieci.

Muzyka, krzyk, żuczący gwar kłębią się pod nocnem niebem niby wrzątek pod nakrywką. Skąpo rozkwitają światła i tylko złoty, srebrzysty migot karuzeli rozjaśnia się niby wielkie palenisko w stepie. Wyboisty plac parku chwyta stopy w ciemne doły, podnosi poniewoli na pagórki, oplątuje trawą, przysypuje piaskiem. Nikt tu nie pomyślał o wygodzie stąpania, skoro wysilano się jedynie na zaspokojenie ciekawości wzroku.

Ludzie plączą się więc naprawdę lunatycznie i tyle tylko, że nie widzą siebie i swojego śmiesznego kaczego chodu. Pod daszkami budek barwnie i jarmarcznie. Bo czyż wszystkie jarmarki i odpusty rodzime nie są sui generis Luna Parkami? Tak samo zresztą jakiś pokraczny arlekin zachwala nadwiślańskim dowcipem prawdziwego, bałtyckiego nurka, uzbrojonego w skafander. Głowa obraca się więc na szyi, jak na osi, bo już z drugiej strony koło szczęścia obwołuje swoje szanse, a rozmaite pomysły ciągną na hazard. Okazuje się, że sprawność fizyczna jest istotnym warunkiem szczęścia, a „kto chciałby tu rozumem wszystkiego dochodzić" nie „ugodzi" ani piłką, ani kulą, ani obręczą i nie wygra nawet marnej tabliczki czekolady na osłodę.

Dylentanckie żonglerstwo rozpala ambicje i chce tu na oczach gapiów osiągnąć laur olimpijski, więc w kogoś, któremu los był łaskawy, oczy zawiści godzą celniej, niż w tarczę.

Ale można się wnet pocieszyć na wagonikach elektrycznych, które nibyto wjeżdżają na siebie, a przecież nigdy nie zderzą się w karambolu. Otóż i rozumny z tego morał o idealnem współżyciu ludzkiem bez katastrof! Szkoda tylko, że daleko nie zajedzie tą czarodziejską metodą.

W złoconych sankach, na konikach, w koczach i karetach pędzi kuligiem karuzel. Śmieszna, dziecinna zabawa, trochę sentymentalna dla dorosłych serc, a trochę romantyczna w symbolizmie. Kto z jadących wie, ile rymów, ile porównań poetyckich wyjechano już na takiej karuzeli, ten nieco wstydzi się swojej uciechy i rad jest, że pęd, jak wstążka przewiązuje oczy.

Teatry warszawskie

(TEATR NARODOWY: *„Szczęście Frania"*, komedja Wł. Perzyńskiego. — TEATR POLSKI: *„Hokus-Pokus"*, komedja K. Goetza. — TEATR MAŁY: *„Prawdziwa miłość"* komedja R. Bracca).

Kiedy po 10-tygodniowej nieobecności wracałem do Warszawy w ostatnich dniach lipca, a więc w pełni sezonu ogórkowego, myślałem z pewną trwogą o pójściu do teatru i o tem, co tam zobaczę. Tymczasem rzeczywistość usprawiedliwiła moje obawy tylko do pewnego stopnia. Repertuar bowiem nie na wszystkich scenach okazał się tak „letni", jak przypuszczałem.

W Teatrze Narodowym zastałem starą, świetną komedję Perzyńskiego, *„Szczęście Frania"*. Ten typowy wykwit literatury „dulszczyźnianej" (z arcydziełem Zapolskiej łączą go silne węzły pokrewieństwa) stanowi wybitną pozycję w naszej chudej literaturze dramatycznej ze względu na swe bardzo poważne wartości formalne i treściowe. Formalnie jest sztuka Perzyńskiego zbudowana wzorowo, niemal klasycznie, i ta jej prosta, jasna konstrukcja tworzy doskonały kościec dla kapitalnej treści. Treścią zaś jest tu w gruncie rzeczy walka między niezdarą życiowym o złotem sercu a wytrawnymi graczami, których istota moralna pozbawiona jest nietylko etyki, ale nawet estetyki; walka o szczęście. Normalnym biegiem rzeczy walka taka kończy się łatwem zwycięstwem sprytnej hołoty nad poczciwem fajtłapstwem. W tym jednak wypadku zwycięstwu stanął na przeszkodzie wiadomy przykry casus pięknej panny Heli, która w obawie przed jego bocianiemi konsekwencjami musi kapitulować i wyjść za „kogokolwiek", to znaczy za poczciwego Frania. I żadna strona nie jest górą: bo i fachowo ułożone plany rodziny Lipowskich co do przyszłości córki wywracają się sromotnie i Franio „zdobywa" swe „szczęście" na gruzach resztek ambicji i poczucia godności: dawniej odtrącony od niego z pogardą, teraz otrzymuje je dlatego, że niktby się na nie już nie złakomił...

Dawno na scenach warszawskich nie widziany Jaracz zabłysnął w tytułowej roli swym wspaniałym talentem. Dla niego warto oglądać tę starą sztukę i po raz dziesiąty. Grał fenomenalnie. Niestety partnerzy jego byli o dwie klasy gorsi, co przebijało się zwłaszcza w prymitywnej grze p. Halskiej.

* * *

„Hokus-Pokus", komedja Goetza, wystawiona w Teatrze Polskim, jest napozór „kinobombą" w rodzaju „Pociągu-Widma" czy „Broadway'u". Ale tylko napozór. Bo wprawdzie sama akcja jest sensacyjno-kryminalna (chodzi o tajemnicę morderstwa, o które obwiniona jest żona zamordowanego), to jednak mamy tu do czynienia z dowcipną parodją, parodją właśnie owych koszmarnych kino-sztuk. Że autor miał tu na celu persiflaż, wynika to z pomysłowego prologu i epilogu, rozgrywających się w gabinecie dyrektora teatru, któremu chodzi o znalezienie wreszcie sztuki „kasowej". Otrzymuje ją — właśnie „Hokus-Pokus" — z rąk własnego kierownika literackiego, który przedstawia komedję jako dzieło Pirandella i pokazuje ją dyrektorowi i... nam. Dyrektor jest zachwycony, lecz kiedy w epilogu kierownik literacki wyznaje, że on sam jest autorem sztuki, dyrektor klnie na czem świat stoi i komedję, jako krajową, odrzuca... Szczegół ten ma specjalny posmak na gruncie warszawskim, gdzie, jak wiadomo, od dłuższego czasu wre zaciekła walka o wartość produkcji literackiej współczesnych dramaturgów polskich, a raczej — ściślej mówiąc — Związku Autorów Dramatycznych. Że zaś prolog i epilog zostały zaktualizowane przez jakiegoś literata warszawskiego, ukrywającego się pod pseudonimem „Ten", więc aluzje do stosunków lokalnych mogły być tembardziej przejrzyste.

W tych ramach toczy się akcja samej komedji, naprawdę fascynująca i zgrabnie zmontowana. Na tle zabawnej satyry na sądy, na prokuratorów, sędziów i adwokatów, rozgrywa się sprawa pięknej podsądnej, „kobiety, która zabiła" swego męża. Ostatecznie wychodzi na jaw jej niewinność, gdyż morderstwa wogóle nie było: okazuje się bowiem, że tym, kto chciał wziąć winę na siebie, jest właśnie... mąż oskarżonej.

Aktorzy spisali się doskonale, zwłaszcza pp. Maszyński i Stanisławski, pierwszy w roli tajemniczego mistyfikatora, drugi jako przewodniczący trybunału. Uroczo wyglądała i dobrze grała p. Mila Kamińska w głównej roli kobiecej. Przykry dysonans stanowił pan Samborski (obrońca sądowy), artysta, u którego stały spadek formy widoczny jest z premjery na premjerę. Brak umiaru i niemiła szarża — i to szarża monotonna —, oto wyraźne symptomy zmanierowania. Oby wróciły czasy, kiedy to aktor ten był jednym z asów naszej sceny.

Sztuka świetnie wyreżyserowana przez Borowskiego i wyposażona w ładne dekoracje Frycza, ma zapewnione powodzenie.

* * *

Komedja Bracca *„Prawdziwa miłość"* (Teatr Mały) powinna mieć drugi tytuł: „czyli o czem dorastająca panna wiedzieć powinna". Przyszło mi to na myśl w chwili, gdy bohaterka zapewnia swego świeżo poślubionego męża, iż potrafi go przekonać nietylko o tem, że z pierwszym mężem łączył ją jedynie stosunek braterski, ale także o tem, że nigdy nie miała kochanków. Charakter podręcznika do uświadamiania dziewcząt ma to sztuczydełko również przez cały drugi akt, który pokazuje jasno, na jakie niebezpieczeństwa naraża się młoda kobieta, zajmując w hotelu wspólny pokój z obcym mężczyzną. Poza temi budującemi szczegółami reszta jest przeraźliwie nudna i nie zasługuje na streszczenie. W „Świcie, dniu i nocy" nikła akcja ograniczała się również do flirtu dwojga młodych przez 3 akty, uwieńczonego małżeństwem, ale tam było to zrobione z talentem, zgrabnie i dowcipnie. Odejmijmy te zalety, a zostanie — „Prawdziwa miłość", na którą można było patrzeć tylko dzięki grze Malickiej i Węgierki.

Ignacy Wieniewski.

„Numery" Luna Parku mają jednak swoją hierarchję i napewno abisyńscy fakirzy zajęli wyższą lunaparkową pozycję, niż teatr małp. Bo jednak i turbany i szarawary barwią się egzotyką, a łykanie ognia jest, zaiste, piekielną zabawą. Widzowie dostają zgagę z samego patrzenia, ale jeszcze trudniej poradzić sobie z niewrażliwością czarnej skóry, której nie kaleczy szkło, nie dziurawią gwoździe, nie parzy rozpalone żelazo. Czarnoksięstwo uderza więc pięścią między oczy i tak otumania, że prawie chce się filozoficznie mówić: Wiem, że nic nie wiem. I w ten sposób zamyka się ciekawość na klucz.

Cowboye i — powiedzmy — Indjanie żyją tu zgodnie na wielkim placu, popisując się, czem kto umie. Lasso okręca się, jak obręcze i klaszcze niby wystrzały z pistoletu. Aż gorzko robi się od kurzu i oczy, jak myszy smykają za pletnią lassa. Myślimy potrochu o prerjach, o skalpowaniu i czerwonoskórych bohaterach. Nic jednak nie jest już prawdziwe, gdy stało się sztuką zręczności, obwoływaną przez impresarja. Dobrze podskubane orle czuby ciężą głowom i cyrkowa sprawność odbiera nawet wiarę w zabójczość tomahawków. Taka oczywistość na pokaz jest tylko zabijaniem iluzyj, więc nagle robi się żal młodości, która tak szczerze walczyła z bezprawiem białego człowieka i do dziś dotrwała w wierności dla jakiegoś „Orlego Oka". W momencie, gdy płacimy 50 groszy za kartkę, ofiarowaną nam przez „wodza", kupujemy rozczarowanie i z czarnych, cygańskich oczu obieżyświata czerpiemy zbrukany sceptycyzm. Wprawdzie wmawiamy sobie, że ci wszyscy kolorowi (a może kolorowani) ludzie są smutni, bo chcemy ich koniecznie pożałować, koniecznie polubić za to, że mieli najlepsze chęci i wysilali się dla naszej zabawy. Ale nie, doprawdy, sentyment nie jest lassem i nie chwycił nas w pętlę. Odchodzimy swoją drogą, zostawiając tych udających biedaków nowym widzom i nowym, nieszczerym aplauzom.

Potem w „beczce śmiechu" dudni nasz śmiech i sprytna głupota wywraca koziołki ku łaskotliwej radości bliźnich. Dobrze przecież jest patrzeć, gdy ktoś pada, dobrze jest widzieć jego poniewierkę. I wtedy nic tak nie szczerzy zębów, jak złośliwe zadowolenie. Tłum ma czerwone, błyszczące policzki i wytrząsa z siebie radość, jak pocieszne zabawki z worka. Na wklęsłej, ruchomej powierzchni beczki padają pokotem ochotnicy i stają się męczennikami dziwacznego, nikomu niepotrzebnego bohaterstwa.

I tak nic nie jest śmieszne dla tych, którzy rezonują i mają astygmatyczny wzrok, który nie widzi spraw na jednej płaszczyźnie, lecz szuka głębi tam, gdzie jej niema. Mimowolny skurcz warg odsłania wprawdzie zęby, ale śmiech nie dochodzi do serca. A gdy się już opuszcza Luna Park, zabiera się jeszcze na drogę martwiące spostrzeżenie — oto największy tłok panuje przy hazardach! Tam twarze skupione, namiętne, łapczywe, oddechy szybkie, gorączkowe, oczy śledzące, zaklinjające, tam niewiadomy los ma swój śmiech i swoją zabawę.

Herminja Naglerowa.

D'Annunzio a Watykan

Jak wiadomo D'Annunzio od szeregu lat jest w konflikcie z cenzurą watykańską. Już w roku 1911 watykańskie kolegjum cenzury, t. zw. „Święte Offizium" postawiło na indeksie wszystkie dzieła tego pisarza. Później przyszła wojna i okres powojenny, w którym D'Annunzio w różny sposób starał się brać udział w społecznem, narodowem i politycznem życiu Włoch, znajdując w międzyczasie czas na prace literackie. Owocem tych prac jest szereg nowych utworów tego genjalnego pisarza, a owocem innych wysiłków i czynów tytuł narodowego genjusza Włoch faszystowskich. Faszyzm postanowił rozpowszechnić utwory D'Annunzia wśród wszystkich warstw społeczeństwa włoskiego. Powstały specjalne instytuty wydawnicze, które w miljonach egzemplarzy drukują książki tego pisarza i kolportują je w całym kraju, tak że niedługo nie będzie ani jednego domu włoskiego, w którym nie byłoby całkowitego zbioru dzieł D'Annunzia.

Tymczasem niedawno cenzura papieska postanowiła umieścić na indeksie także i te wszystkie utwory D'Annunzia, które napisane zostały po roku 1911 aż do ostatniego czasu. W organie Watykanu „Oservatore Romano" ukazał się komentarz uzasadniający taką decyzję Św. Offizium. Czytamy tam:

„...Rozciągnięcie potępienia na wszystkie utwory D'Annunzia uważać należy jako ostateczny wyrok na twórczość, której niezdolności do rozbudzenia prawdziwego i szlachetnego ducha narodowego nie uda się ukryć przy pomocy żadnej, chociażby jaknajgłośniejszej, reklamy księgarskiej. Z decyzji Św. Offizium wynika, że tylko przez zamarcie idei D'Annunzia, może odnowić się dusza tego kraju, a z nią także i twórczość artystyczna w każdej swojej dziedzinie..."

Prasa faszystowska przyjęła z wielkiem oburzeniem decyzję Św. Offizium i komentarz do niej, zdając sobie dokładnie sprawę z tego, że krytyka papieska, występująca w szacie cenzury moralnej, mieści w sobie ostrze, skierowane przeciw faszyzmowi wogóle. Odezwały się głosy, potępiające taką cenzurę twórczości artystycznej. Zaiste arcyzabawny widok: Gdyby takie wywody zamieściła prasa, ciesząca się zupełną swobodą i stojąca niewzruszenie na gruncie wolności słowa i sumienia artysty, miałyby one pewne znaczenie jako opinja pseudo liberalna, ale gdy piszą to ludzie, którzy sami stosują jaknajbezwzględniejszy rygor cenzuralny we wszystkich dziedzinach twórczości, trzeba doprawdy zdumiewać się nad ich tupetem i czelnością.

Nie trzeba godzić się na upodobania ani argumenty kongregacji papieskiej, niemniej jednak trzeba wskazać na jedną niezmiernie ważną okoliczność, nad którą tak chętnie przechodzi się do porządku dziennego w polemikach z Watykanem. Mianowicie na tę, że jakiekolwiek one są, te orzeczenia cenzury papieskiej, tem się jednak zasadniczo różnią od zarządzeń cenzury każdego innego państwa, że nie stoi za niemi żaden prokurator. Cenzura papieska opiera się tylko na swojem moralnem znaczeniu, a nie posługuje się żadną inną siłą. Nie grozi sądem ani więzieniem. I jeżeli mimo to, albo raczej dlatego osiąga zwykle duży skutek, to wyższą jest ponad wszelką krytykę, właśnie w imię wolności sumienia.

Książki,

SERCE KOBIETY.

Pantelejmon Romanow — Serce Kobiety — przełożył Binom. Warszawa. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Rój". Str. 209.

Jest to tom nowel głośnego i na wszystkie europejskie języki tłumaczonego ostatnio pisarza rosyjskiego. Tom zawiera osiem utworów o wysokiej wartości artystycznej. Każdy z tych utworów jest przedewszystkiem niezmiernie interesującem opowiadaniem, żywym i barwnym szkicem, który czyta się z prawdziwem zainteresowaniem. Jest to jednak literatura rewolucyjna. Romanow odkrywa przed nami porywy serca współczesnej kobiety rosyjskiej, dla której ustrój sowiecki i sowieckie refomry społeczne stały się już powietrzem i wodą. Porywy te wypływają zresztą z warunków sowieckiej rzeczywistości. Dla ścisłości przeto tytuł polskiego przekładu należałoby uzupełnić i zbiorek ten nazwać „Serce kobiety sowieckiej".

* * *

Ukazały się dwa dalsze tomiki „Bibljoteczki Historyczno - Geograficznej" „Roju". Nr. 102 p. t. „Najsłynniejsze Raidy Lotnicze" zawiera treściwe i niezmiernie interesujące opisy wielkich przedsięwzięć lotniczych ostatnich lat, dzięki czemu posiada szczególną war tość dla wszystkich, którzy żywo interesują się zagadnieniem lotnictwa i perspektywami, jaki ono otwiera przed ludzkością.

Nr. 103 p. t. „Cesarz w Niewoli" zawiera przepiękny szkic historyczny z pobytu cesarza Napoleona na wygnaniu na wyspie św. Heleny. Szkic ten stanowi streszczenie pamiętników pani Abell z domu Balcombe, która miała 14 lat, gdy Napoleon przybył na wyspę św. Heleny i zamieszkał w domu jej rodziców. Pamiętniki te stanowią najcenniejszy przyczynek do charakterystyki Napoleona jako człowieka. W streszczeniu, wydanem przez „Rój", uwzględnione zostały najciekaw sze szczegóły tego pamiętnika.

POGRANICZNE OGNISKA.

Jerzy Konrad Maciejewski (Konrad Jotemski) — **Pograniczne Ogniska** — Powieść. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Stron 312.

Autor ma stanowczo więcej zdolności publicystycznych niż powieściopisarskich. W powieści swojej porusza kilkanaście bardzo interesesujących tematów w sposób czysto publicystyczny, natomiast nie widać w niej żadnej troski o fabułę i rysunek postaci. W rezultacie po przeczytaniu książki czytelnik nie wie, co autor chciał opowiedzieć. Bohater żyje wprawdzie do ostatniej strony, widzimy go w wielu sytuacjach, ale sylwetki wyrazistej niema nigdzie. Tak samo i inne postacie. Zjawiają się, niewiadomo poco i znikają, niewiadomo dlaczego. Chyba po to, by autor mógł zająć się jakimś tematem społecznym, kulturalnym czy politycznym.

Sądząc z tytułu, autor chciał napisać powieść na tle życia osadników wojskowych na kresach. W trakcie pisania tyle razy jednak odbiegł od tematu, że trudno się go w książce doszukać.

Nawiasem jeszcze trzeba zaznaczyć, że autor czuje jakąś dziwną niechęć do Łodzi, która w kilku miejscach tej powieści znalazła się jak Piłat w credo. N. b. pojęcie o Łodzi ma autor mniej więcej takie same jak o życiu osadników na kresach.

GAZY BOJOWE.

Dr. med. Ludwik Kawałek. — **Pierwsza pomoc w zatruciach gazami bojowemi.** — Lwów 1928. Nakładem Książnicy-Atlas. Str. 55.

Niezmiernie aktualna, pożyteczna i starannie opracowana broszura. Gazy trujące, to temat, który interesować musi każdego, bo nie wiemy dnia ani godziny, gdy od dobrej znajomości tego przedmiotu zależeć będzie życie nasze. Na to nie trzeba nawet wojny. Wypadki niedawne w Hamburgu dowiodły, że nawet w okresie niczem niezmąconego pokoju ludność narażona może być na działanie gazów trujących. Broszura D-ra Kawałka stanowi konieczne uzupełnienie wiado mości o pierwszej pomocy w nagłych i nieszczęśliwych wypadkach. Powinna też znajdować się w każdym domu a zwłaszcza w każdym domu w miastach.

OD OLIMPU DO OLIMPJI.

Tadeusz Sinko. — Od Olimpu do Olimpji. — Wrażenia z podróży greckiej. Z 200 rycinami i mapkami w tekście. Lwów, Książnica-Atlas 1928. Str. 432.

Uczony miłośnik Grecji starożytnej, jej kultury, sztuki, literatury i mitów, prof. Tadeusz Sinko, opisuje swoją podróż po Grecji nowoczesnej. Dobrze się podróżuje z tak inteligentnym przewodnikiem, który w dodatku tak niezmiernie zajmująco umie opowiadać. Opowiadania jego ożywiają nam każdy kamień, każdy szczątek strzaskanej kolumny, każdy zatarty ślad starożytnej rzeźby, ba — każdą ścieżkę i drogę.

W przedmowie do swojej książki pisze autor: „Spisując te wrażenia i rozważania z podróży od Olimpu do Olimpji, wyobrażałem sobie jako czytelników młodzież szkół średnich i wyższych, której chciałem dostarczyć terenu i tła — historji i kultury greckiej, i dorosłą inteligencję, skazaną dotąd w razie zainteresowania się Grecją na książki francuskie i niemieckie".

Cel swój autor osiągnął. Dla młodzieży szkół średnich i wyższych książka ta jest skarbem nieocenionym, dla inteligencji najwyszukańszą lekturą, nastręczającą mnóstwo refleksyj i podniety umysłowej, dla tych, któ rzy kiedyś zechcą zwiedzić Grecję, cudownym, inteligentnym Baedeckerem.

Firma wydawnicza dała książce wytworną szatę. Doskonały papier ilustracyjny, starannie wykonane klisze i doskonałe dzięki temu reprodukcje fotografij i rysunków.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE i KRONIKA

Ideologja mocarstwowa, czy monopolowa?

Artykuł nasz pod takim nagłówkiem, zamieszczony w jednym z poprzednich numerów „Prawdy", a poświęcony książce zbiorowej piętnastu autorów p .t. *„Zagadnienia gospodarcze Polski współczesnej"*, wywołał dłuższą odpowiedź na łamach „Głosu Prawdy".

Autor tej odpowiedzi stara się uzasadnić tendencje autorów wspomnianej książki i dowodzi, że współczesne życie gospodarcze Polski cechuje brak prywatnej inicjatywy i prywatnej przedsiębiorczości, że wobec tego państwo musi zastępować ją i na siebie brać jej rolę w każdej dziedzinie życia gospodarczego, że musi rozwijać i rozszerzać przedsiębiorstwa państwowe, tworzyć nowe monopole, budować fabryki, zakładać banki itp., itp.

Wywody te są tak charakterystyczne, że pomieszczamy istotną ich część w dosłownem brzmieniu, gdyż ułatwi nam to ogromnie wykazanie całej niedorzeczności ideologji i stanowiska, których są wyrazem. „Głos Prawdy" pisze:

„...Obszerna ta praca ekonomistów i działaczów na polu gospodarczem obozu rządowego, wywołała prawdziwą irytację „Prawdy" łódzkiej, z powodu wysuniętej w niej tezy, sformułowanej przez Stefana Starzyńskiego w następujący sposób:

— Planowość polityki gospodarczej Państwa musi prowadzić do coraz większej możliwości regulowania przez rząd życia gospodarczego".

„Prawda" wyjaśnia, że jest to ideologja „dążąca do podporządkowania wszystkich spraw gospodarki narodowej i społecznej państwa... do systematycznego rozszerzania i rozbudowy roli państwa jako przedsiębiorcy..." i jako taka jest ona zbrodnią przeciw „ideologji mocarstwowości" Polski.

Wypada żałować, że „Prawda" tak bardzo, bo o 10 lat, spóźniła się ze swoją propozycją. Dlaczegóż to przedsiębiorczość ta nie ujawniła się wówczas, gdy Państwo, gdy rząd zajęty był wyzwalaniem ziem z pod jarzma niewoli, wojną. Czemuż wyrażała się ona przedewszystkiem w bieganiu przemysłowców do kas skarbowych po kredyty, skreślone później przez inflację, — w takiem obsadzeniu resortów gospodarczych i skarbu, by kredyty te płynęły nieprzerwaną strugą.

Odpowiedź jest łatwa: bo nie było kapitałów prywatnych. Jedynym bankierem było Państwo i któż jak nie ono mogło pieniądze dać. Tak, lecz taki stan rzeczy nie może nie pociągać za sobą daleko idących konsekwencyj. Jeżeli Państwo jest głównym bankierem a zarazem i głównym odbiorcą węgla, wyrobów włókienniczych, żelaza i wielu innych artykułów przemysłowych, jeśli nadto musi ono rozwijać własnym sumptem cały szereg dziedzin wytwórczości, niezbędnych dla kraju — trudno, by nie stawało się ono z jednej strony wielkim przedsiębiorcą, a z drugiej, by nie kontrolowało funkcjonowania przedsiębiorstw, które finansuje. Dzisiaj po dziesięciu latach życia samoistnego stoimy wobec faktu: „największym kapitalistą i przedsiębiorcą w Polsce jest Państwo". Nic na to poradzić już nie można. Jeżeli t. zw. „przedsiębiorczość prywatna" nie życzyła sobie takiego układu sytuacji, spóźniła się z kontrakcją.

A zresztą nie zaciemniamy sobie obrazu rzeczywistości legendą o owej „prywatnej przedsiębiorczości" naszego przemysłu. Aparat ten funkcjonuje u nas fatalnie. Gdy chodzi o rozbudowę wytwórczości nawozów sztucznych, fabrykę w Tarnowie musi budować Państwo. Prywatne fabryki tego produktu — jak wykazała Komisja Ankietowa — pracują tylko 40 proc. wydajności, ponieważ daje to wystarczające zyski przy małych kłopotach. Wielkiej doniosłości gospodarczej chłodnie i elewatory — buduje Państwo. Ba! Przecież całej „prywatnej przedsiębiorczości" nie starcza na tyle, by używane przez każdego rolnika kosy były produkowane w kraju. Sprowadzamy z zagranicy co do jednej. Nawet głupie haczyki, do zawieszania obrazka na ścianie, to też produkt importowy.

O „przedsiębiorczości prywatna" — gdzież, poza szpaltami pism przemysłowców — można spotkać cię na ziemi naszej? „Prawda" twierdzi, iż „społeczeństwo nie potrzebuje od Państwa zapałek, spirytusu, soli, papierosów, węgla, nafty i t. d., bo tych artykułów dostarczyć mu może tak samo dobrze przedsiębiorczość prywatna".

Gruby błąd. Społeczeństwo żąda od Państwa nie od przemysłowców, by mu nie brakło artykułów pierwszej potrzeby i by ceny ich stały w stosunku prostym do zarobków. Społeczeństwo nie bada marki fabrycznej nabywanego artykułu, lecz za jego cenę i ewentualny brak składa odpowiedzialność na Państwo. Ono też, chce czy nie chce, musi być regulatorem produkcji i obiegu artykułów, ono musi regulować nietylko sam charakter produkcji, lecz nawet wewnętrzne życie każdego zakładu przemysłowego — jako rozjemca między kapitalistą i robotnikiem.

Interwencja państwa współczesnego w dziedzinę życia gospodarczego jest i musi być olbrzymia, z dniem każdym większa, dźwiga ono bowiem wielki obowiązek racjonalizatora produkcji, egzekutora ustawodawstwa socjalnego, regulatora cen i stróża waluty".

* * *

Dlaczegóż to przedsiębiorczość prywatna nie ujawniła się wówczas, gdy Państwo, gdy rząd, zajęty był wyzwalaniem ziem z pod jarzma niewoli, wojną?

A czy uruchomienie zdewastowanego przez okupantów i pozbawionego wszelkich środków i zapasów przemysłu Kongresówki nie było objawem przedsiębiorczości prywatnej? Zacytujemy tylko jeden przykład: Przemysł łódzki został przez okupację nietylko unieruchomiony, ale także kompletnie zniszczony. Według ostrożnego szacunku oficjalnego okupanci wywieźli z łódzkich fabryk *za 186 miljonów złotych przedwojennych rubli* materjałów technicznych, maszyn i pasów. Nie zostawiono ani jednego motoru elektrycznego, ani jednego walca miedzianego, czy mosiężnego, ani strzępa pasa, wyłamano brutalnie z drogocennych maszyn części miedziane i mosiężne, pozostawiono szkielety i ruiny. A jednak te ruiny *zaczęły żyć w kilka tygodni po wypędzeniu okupantów.* Zaczęły żyć, chociaż nie było ich czem ożywić, bo wszystkie kapitały przemysłu wywędrowały z rosyjskiemi instytucjami finansowymi. Było tego *100 miljonów dolarów,* tylko w postaci portfeli wekslowych, kapitałów obrotowych na rachunkach czekowych i należytości u odbiorców. Ładna sumka leżała także na unieruchomionych przez moratorjum rachunkach rublowych w instytucjach, które pozostały w Polsce. Niektórzy przemysłowcy w ostatnich miesiącach wojny *nie mieli pieniędzy na własne swoje i swoich rodzin utrzymanie.* Może więc mieli zapasy surowców i materjałów? Nic nie mieli, do ostatniego włókna bawełny i wełny wymietli magazyny okupanci, z piwnic i z pod ziemi wykopali ukryte sztuki towarów. Były gruzy i garstka ludzi, którzy nie załamywali rąk, ani *na państwo się nie oglądali,* lecz wzięli się do pracy i w początkach 1919 r. już żołnierz polski korzystał z pracy tego przemysłu, już ludność mogła zaspakajać najpilniejsze swoje potrzeby. Państwo pomogło? Nie mówmy lepiej o tej pomocy — do dzisiaj niejedno przedsiębiorstwo nie może się po tej pomocy wylizać. A z drugiej strony gorliwa opieka *Puzappów i Guzów* robiła co mogła, aby ten wspaniały pęd przedsiębiorczości zahamować.

Kasy skarbowe i bieganie przemysłowców do tych kas po kredyty, ulegające dewaluacji, to także jedna z wielu bajek i legend. Latali do tych kas przemysłowcy, ale przeważnie poto, aby wykupywać przydzielane im sumy pożyczek państwowych, skreślonych później przez inflancję oraz partje biletów skarbowych lub płacić daniny nadzwyczajne i podatek od... *„zysków wojennych"*. Pieniędzy nikt w kasie skarbowej nie otrzymał ani nawet nie starał się otrzymać. A gdy należały mu się tam pieniądze za sprzedany towar, zwlekano z ich wypłatą tak długo, aż *towar za pół darmo, skutkiem straty kursowej, stawał się własnością państwa.* Kredyty towarowe zagraniczne, zapośredniczone przez państwo były waloryzowane w walucie zagranicznej i w wielu wypadkach doprowadziły do bankructwa lub przejścia fabryki w ręce zagranicznego wierzyciela.

Przemysł korzystał tylko z kredytów dyskontowych w P. K. K. P., która — aczkolwiek była instytucją państwową — spełniała *rolę banku emisyjnego* i centrali kredytu dyskontowego dla prywatnego życia gospodarczego. P. K. K. P. państwu w związku z udzielanymi kredytami dyskontowymi *żadnych strat nie przyniosła.* Państwo, prowadząc politykę inflacyjną, *miało obowiązek zabezpieczyć od skutków tej inflacji obroty handlowe,* dokonywane na kredyt w pełnych 100 procentach, a tymczasem zabezpieczało je tylko w minimalnym ułamku, przyjmując do dyskonta w P. K. K. P. ograniczoną ilość weksli towarowych. Skutki tych „kredytów, które ulegały przekreśleniu" do dzisiaj odczuwa przemysł, owocem ich *setki postabilizacyjnych bankructw* i nędza finansowa w tych firmach, które mimo wszystko przetrwały. Polityka gospodarcza państwa w okresie inflacji, to przerażający *dowód indolencji,* odstraszający przykład katastrofy, do jakiej w rezultacie musi doprowadzić państwo, lubujące się w roli przedsiębiorcy, producenta i bankiera. Jeżeli „Pierwsza Brygada Gospodarcza" nie chce tego zrozumieć, lecz w dalszym ciągu eksperymentuje w nadziei, że uda się jej znaleźć sposób, przy którym i wilk socjalizmu byłby syty i owca gospodarki kapitalistycznej cała, to z troską trzeba patrzeć w przyszłość, bo te eksperymenty nawet w najlepszym razie silnie opóźnią rozwój naszego życia gospodarczego i trzymać nas będą w ogonie gospodarki europejskiej, nie pozwalając nam wysunąć się na miejsce, jakie nam się należy.

Sprawa obsady resortów gospodarczych państwa interesowała zawsze nasze sfery gospodarcze i to jest zupełnie naturalne. Niestety o tej obsadzie decydowały zawsze inne względy niż te, które reprezentowali przedstawiciele życia gospodarczego. Twierdzenie „Głosu Prawdy" jest frazesem gołosłownym, takim samym, jak gadka o owych kredytach, „płynących nieprzerwaną strugą". Płynęły fundusze nieprzerwaną strugą, *Nadzwyczajna Komisja do walki z nadużyciami* odsłoniła nawet niejeden taki kanalik. Do życia gospodarczego, *do produkcji, żaden z nich nie prowadził.*

Czy państwo musi rozwijać cały szereg dziedzin wytwórczości, niezbędnych dla kraju?

Tak jest, powinno rozwijać te gałęzie przemysłu, które mogą mieć znaczenie dla obrony państwa, jeśli przedsiębiorczość prywatna nie może w nich znaleźć odpowiednich dla siebie warunków. „Głos Prawdy" przytacza jako przykład przemysł nawozów sztucznych, a ściślej fabrykację związków azotowych. Jest to dziedzina przemysłu chemicznego, dla którego *w Polsce dotychczas niema takich warunków rozwoju, by poważniejsze kapitały prywatne mogły szukać w nim lokaty.* Na to niema rady. Zapotrzebowanie produktów chemicznych na rynku wewnętrznym jest małe, a eksport niemożliwy, gdyż w zakresie tego przemysłu, mającego tak olbrzymie znaczenie dla obrony państwa, każde państwo chce być samowystarczalne i swój przemysł otacza jaknajtroskliwszą opieką. Jeżeli państwo nie może czekać, aż w miarę rozwoju gospodarczego zapotrzebowanie w tej dziedzinie tak dalece się powiększy, że zaczną powstawać fabryki prywatne zdolne na wypadek wojny zaspokoić wszystkie wymagania obrony państwa, *musi na swoich barkach dźwigać przez jakiś czas deficyty tej gałęzi przemysłu i oprocentowywać kapitał, tkwiący w niemożliwych do wyzyskania instalacjach.* Monopolizować jednak przemysłu chemicznego, dlatego tylko, że chwilowo przedsiębiorczość prywatna nim się nie interesuje, państwo nie powinno, właśnie w imię interesu obrony państwa.

Chłodnie, elewatory? Najpierw trzeba stworzyć warunki dla prosperacji takich inwestycyj. Chłodnie powinny budować samorządy a nie państwo oraz wielkie przedsiębiorstwa handlowe. I będą je budowały, gdy z biegiem czasu nasz *handel i przemysł spożywczy się ucywilizuje.* Tu właśnie jest pole do popisu dla państwa: tępienie brudu i „domowych" metod w handlu spożywczym, nietolerowanie w centrum stolicy obskurnych sklepików z „szwarcem, mydłem i powidłem", realizowanie programu higjeny w szkołach powszechnych i t. d. i t. d. Tylko, że na tej drodze natrafiłoby się na nieprzyjemną *kwestję mniejszościową...* Dlatego lepiej budować chłodnie i niechaj stoją sobie próżne! A elewatory? Przy dzisiejszym stanie komunikacji kolejowej i drogowej, przy dzisiejszym stanie kultury rolnej u nas, elewatory zbożowe, poza elewatorami w kilku wielkich miastach — to kwiatek przy kożuchu.

Przedsiębiorczość prywatna pojawia się tam wszędzie, gdzie istnieje rzeczywista potrzeba, którą trzeba stale zaspakajać. Przedsiębiorczość prywatna nie kieruje się ambicjami ani względami specjalnemi, lecz *warunkami realnymi.* Nie zaznacza się też u nas jeszcze w wielu dziedzinach, bo w tych dziedzinach *potrzeby te dopiero zaczynają się budzić.* Obowiązkiem państwa jest robić wszystko, aby te potrzeby w szybszem tempie powstawały, popierać i otaczać opieką pierwsze przejawy prywatnej przedsiębiorczości w nowych dziedzinach, a nie anektować zgóry pewnych dziewiczych jeszcze terenów dla przedsiębiorczości własnej i zamykać ich temsamem dla przedsiębiorczości prywatnej.

Jeżeli już dzisiaj jest tak źle u nas, że państwo jest największym przedsiębiorcą i największym bankierem, to najlepszy dowód, że *państwo prowadzi fatalną politykę fiskalną,* że weszło na drogę systematycznego wywłaszczania własności prywatnej, że uniemożliwiło wszelką akumulację kapitałów poza kasami skarbowemi. Idąc po tej drodze dojdziemy naprawdę do tego ideału „Pierwszej Brygady Gospodarczej", gdy państwo dostarczać będzie społeczeństwu nietylko zapałek, soli, spirytusu i papierosów, ale i gwoździ do przybijania obrazków na ścianie. Wówczas jednak obywatel stosunek swój do państwa uzależniać będzie od ceny i jakości dostarczanych mu artykułów pierwszej potrzeby i *zniknie w społeczeństwie podłoże psychiczne dla polityki mocarstwowej.*

Państwo współczesne ma tylko obowiązek czuwania nad *stroną społeczną* życia gospodarczego i regulowania jej zapomocą trafnego i zgodnego z realnymi warunkami ustawodawstwa społecznego.

K. Tyr.

PRZERACHOWANIE PRETENSJI CZESKIEGO BANKU

Orzeczenie Sądu Najwyższego.

Gmina miasta Złoczowa zaciągnęła w roku 1910 w „Živnostenska Banka" w Pradze Czeskiej (Oddział we Lwowie) pożyczkę amortyzacyjną na budowę elektrowni miejskiej w kwocie 370,000 koron austrjackich. Umowa pożyczkowa przewidywała, że pożyczka umorzona zostanie w 100 ratach półrocznych po 9,278 koron 12 halerzy każda.

Dnia 31 grudnia 1923 r. gmina miasta Złoczowa wypowiedziała „Živnostenskiej Bance" pozostałą sumę tej pożyczki, obliczoną na ten dzień w kwocie 465,469 koron 79 halerzy, a następnie po wejściu w życie rozporządzenia waloryzacyjnego z dnia 14 maja 1924 r. wdrożyła za pośrednictwem swego pełnomocnika, adwokata D-ra Hessla w Złoczowie, postępowanie o przerachowanie tej sumy.

Sąd powiatowy w Złoczowie przerachował powyższy dług gminy miasta Złoczowa stosownie do żądania pełnomocnika na kwotę **9,327 zł. 24 gr.**, która to suma stanowi niespełna 2 procent przedwojennej wartości długu. Sprawa w toku instancyj doszła do Sądu Najwyższego, który też uchwałę pierwszej instancji zatwierdził swoją uchwałą z dnia 2 marca 1926 roku.

Oba sądy przyjęły tak niską stopę przerachowania dlatego, że gmina miasta Złoczowa poniosła bardzo znaczne szkody wojenne, że skutkiem dewaluacji straciła dużą część swego majątku, ulokowanego w papierach wartościowych, a wreszcie dlatego, że w myśl opinji, wydanej przez Ministerstwo Sprawiedliwości w Warszawie, dnia 3 stycznia 1925 r. w republice czeskosłowackiej w chwili dokonania tego przerachowania istniał taki stan rzeczy, że dłużnicy, będący obywatelami państwa czeskosłowackiego **nie byli obowiązani do regulowania swých zobowiązań wobec wierzycieli, będących obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej.** W tych warunkach gmina miasta Złoczowa miała prawo korzystać z wzajemności i miała prawo zlikwidować swój dług wobec czeskiej instytucji finansowej, płacąc jej **21 groszy**, czyli przeliczając swój dług, t. j. 465,469.79 koron na 325,829 marek polskich według relacji Grabskiego a następnie marki na złote według kursu stabilizacyjnego.

Orzeczenie Sądu Najwyższego zapadło, jak wspomnieliśmy, dnia 2 marca 1926 r., a więc przed ogłoszeniem traktatu, zawartego między Polską a Czechosłowacją, który nadaje obywatelom obu tych państw prawo do takiego przerachowania wzajemnych pretensyj, jakie przysługują obywatelom własnego państwa. Umowa ta ratyfikowana została przez sejm polski dnia 15 września 1925 roku, a ogłoszoną dnia 1 maja 1926 r.

„Živnostenska Banka", opierając się na tej umowie, wytoczyła gminie miasta Złoczowa proces o przerachowanie swojej pretensji, domagając się kwoty **115,470 zł.** z odsetkami, jako jdnej czwartej części wierzytelności i żądając w tym celu przerachowanie tej pretensji według normy **25 procent**, stosowanej przy podobnych zobowiązaniach wobec obywateli polskich.

Sąd Okręgowy w Złoczowie oddalił pretensję „Živnostenskiej Banki!" Tak samo uczyniła instancja druga a wreszcie i Sąd Najwyższy decyzją z dnia 23 maja 1928 roku motywując ją w ten sam sposób jak decyzję poprzednią, mianowicie tem, że w czasie dokonywania przerachowania istniał taki stan prawny, który obrany sposób przerachowania najzupełniej uzasadniał. Przerachowanie zatem dokonane zostało w sposób prawomocny i „Živnostenska Banka" niema żadnych podstaw ani na zasadzie obowiązujących w Polsce ustaw waloryzacyjnych ani na zasadzie postanowień umowy polsko-czeskosłowackiej do żądania powtórnego przerachowania swojej pretensji, raz już prawidłowo i prawomocnie zwaloryzowanej.

ZAGRANICA

LISTY Z PARYŻA

Francja, Niemcy i Alzacja

(Od własnego korespondenta „Prawdy")

Paryż, 2 sierpnia.

A więc dnia 27 sierpnia, z powodu podpisania głośnego paktu „przeciw wojnie", Paryż będzie gościł w swych murach niemieckiego ministra spraw zagranicznych, D-ra Gustawa Stresemanna. Będzie rzeczą ciekawą obserwować, jak go przyjmie opinja publiczna. Jasną jest rzeczą, że wszelkie niesmaczne manifestacje niechęci są wykluczone. Ale nietylko niechęć może być niesmaczna. Obserwowanie zachowania się prasy paryskiej będzie interesujące pod tym właśnie kątem widzenia.

Ukażą się niewątpliwie okolicznościowe artykuły o stosunkach francusko-niemieckich. Kiedy o tych stosunkach mowa, niesposób jest przynajmniej nie pomyśleć o Alzacji. Każdy przeciętny Francuz jest przekonany o dwu w związku z Alzacją rzeczach: po pierwsze, że ruch autonomistyczny alzacki jest powierzchowny; po drugie, że jest on dziełem niemieckiego złota.

Pierwsze przekonanie jest błędne, ale to sprawa wewnętrznej polityki francuskiej. Któż jednak może zaprzeczyć, iż niemieckie złoto nie działa w Alzacji? Ruch autonomistyczny alzacki wypływa z głębi odwiecznego partykularyzmu tego kraju, tak samo jak odwieczne są tendencje partykularystyczne niemieckiej Nadrenji, ale czy Niemcy nie próbują ruchu alzackiego kanalizować?

Cała Francja szczerze pragnie pokoju i ten francuski minister spraw zagranicznych, który będzie stosował politykę ostrożną, zapewniającą temu krajowi „pokój z honorem" — to znaczy minimum szans wciągnięcia Francji w jakiś konflikt zbrojny z jednoczesnem zachowaniem ewentualnych sojuszników — taki minister, powtarzamy, zawsze będzie w tym kraju popularny. Atoli jedni Francuzi — nazwijmy ich „prawicą" — nie łudzą się i nie zamykają oczu na grożące niebezpieczeństwa; drudzy — niech to będzie „lewica" — z całego serca pragnąc pokoju, przedewszystkiem, niechętnie czytają wiadomości ich pragnienia osłabiające, ich złudzeniom przeczące.

Większość dzienników francuskich poinformowała np. opinję tego kraju, że układy parafowane w Locarno 16 października, a podpisane w Londynie 1 grudnia 1925 roku oznaczają, między innemi, iż Niemcy ostatecznie i „dobrowolnie" zrezygnowały z Alzacji i Lotaryngji.

Cóż o tem myśli Dr. Gustaw Steresemann, który układy podpisał? Dnia 3 listopada 1925 roku wygłosił on przez radjo mowę, którą nazajutrz podały dzienniki niemieckie (patrz „Vossische Ztg. 4.XI.25): „Co się tyczy naszych granic zachodnich — mówił — to układy zawierają zobowiązanie, że nie wolno ich naruszyć czy to drogą wojny zaczepnej, czy drogą inwazji... Pozatem niema w układach locarneńskich nic, coby oznaczało z naszej strony jakąś *rezygnację* moralną, odnoszącą się do ziem niemieckich lub ludności niemieckiej. Prawo narodów do stanowienia o sobie, nie jest zakwestjonowane..."

Kolega ministerjalny i polityczny Stresemanna, dr. Curtius, mówił jeszcze wyraźniej na kongresie **Volkspartei** w Baden-Baden, 27 września 1925 roku: „Żałować szczerze trzeba — stwierdzał — że zarówno na lewicy, jak i na prawicy przedstawia się układy locarneńskie przedewszystkiem, jako rezygnację z Alzacji i Lotaryngji. Myśmy nie zrezygnowali z żadnego kraju niemieckiego, ani nie wyrzekli się żadnej ludności niemieckiej. W Locarno obie strony zobowiązały się tylko do nieprowadzenia wojny na Zachodzie... Alzatczycy-Lotaryńczycy domagają się zagwarantowania ich niemieckości, aby naprawić zapomnienie z roku 1918-go, to znaczy, opierając się na prawie narodów do stanowienia o swoim losie, domagają się **plebiscytu** w przedmiocie autonomji alzackiej. Ponieważ w Alzacji o tem się mówi, każdy rozumie, iż polityka niemiecka była dobrze inspirowana rezygnując z reaneksji tych prowincyj siłą, ale nie rezygnując bynajmniej z rzeczy, z których **Niemcy zrezygnować nie mogą.** Nie zrezygnujemy nigdy z niemieckości Alzacji-Lotaryngji, ale rezygnując z gwałtu — zapewniliśmy sobie możliwość utrzymywania stosunków z ludnością rasowo z nami spokrewnioną. Chcemy tę możliwość utrzymać..."

Wynurzenia te są zupełnie wyraźne; wystarczą, aby określić stanowisko rządu niemieckiego w sprawie Alzacji.

A społeczeństwo? Prasa niemiecka żywo interesuje się Alzacją i bardzo często zamieszcza w tej sprawie źródłowe artykuły. Wychodzący w Strasburgu **Bulletin d'Alsace et de Lorraine** skrzętnie te głosy notuje. Nic dziwnego, że prawicowe dzienniki niemieckie wykazują, iż „Alzacja jest krajem niemieckim i kiedyś do Niemiec sama wróci". Ale oto np. charakterystyczny głos demokratycznej „*Vossische Ztg.*" (6.II.26) „Dziwimy się — pisze tam dr. Schwalbe, — że nacjonaliści niemieccy tak głośno krzyczą o naszej rezygnacji z Alzacji i Lotaryngji. Czyż nie widzą, że od chwili, kiedy wiadomo, iż Niemcy nie będą siłą tych prowincyj odbierały ruch autonomiczny urósł tam do rozmiarów, które zadziwiają nawet dobrze poinformowanych?"

Propagandą na rzecz Alzacji w Niemczech trudnią się przedewszystkiem ci Niemcy, którzy musieli się stamtąd wynieść, oraz ci zniemczeni Alzatczycy, którzy dobrowolnie wyemigrowali. Jednych i drugich jest razem 130.000. Założyli oni **Hilfsbund der Elsass-Lothringer im Reich** liczący 20.000 członków; taką cyfrę podał jego prezes, Dr. Donnevert, w swem sprawozdaniu, odczytanem na kongresie **Hilfsbundu** w Carlsruhe, w grudniu 1925 r. Na tym kongresie przemawiał m. in. Dr. Schwander, Alzatczyk b.**Statthalter** w Strasburgu, a obecnie **Oberpräsident** w Cassel; wyraził swą wiarę, iż „przyjdzie czas, kiedy Alzacja wyzwoli się z pod francuskiego jarzma".

Hilfsbund alzacki należy do **Deutscher Schutzbundu,** grupującego wszystkie niemieckie stowarzyszenia irredentystyczne; na czele tej organizacji stoją Dr. Carl von Lösch i prof. Martin Spahn, b. poseł centrowy; przy zarządzie głównym istnieje również „sekcja alzacka", którą kieruje Dr. Robert Ernst. Jest on jednocześnie redaktorem miesięcznika **Elsass-Lothringen Heimatstimmen.** Jeśli zważyć, iż **Deutscher Schutzbund** jest instytucją subwencjonowaną przez rząd niemiecki, tudzież przez wielki przemysł i przez rolnictwo, to musimy wyciągnąć wniosek, że przynajmniej pośrednio władze niemieckie podtrzymują materjalnie agitację pro-alzacką.

Drugie ognisko tej agitacji mieści się w Frankfurcie-nad-Menem: jest to **Wissenschaftliches Institut der Elsas-Lothringer im Reich,** założony przy tamtejszym uniwersytecie państwowym dnia 12 listopada 1921 roku. Na jego czele stoi ks. kanonik Ehrard, b. profesor teologji na uniwersytecie strasburskim; sekretarzem jest Dr. Wolfram, b. archiwista w Metzu. Instytut posiada swój organ miesięczny, **Elsass-Lothringische Mitteilungen,** redagowany przez niejakiego Gadomsky'ego, oraz wydaje specjalną bibljotekę (**Elsass Lothringische Hausbücherei).** Oczywiście, te wszystkie pisma i druki, podobnie jak i **Heimatstimmen,** mają w granice Francji oficjalnie wstęp wzboniony. Ale granica francusko-niemiecka nie jest bynajmniej hermetycznie dla tego rodzaju propagandy zamknięta, tembardziej, że druki alzackie nie idą wprost do Strasburga, ale mogą np. być reekspedjowane z Saarbrückien lub z Bazylei... nie mówiąc już o tem, że fraszką jest przewozić „bibułę" osobiście.

P. Stresemann jest mądrym człowiekiem i niewątpliwie doskonałym dyplomatą. Napewno cała ta niemiecka agitacja pro-alzacka jest mu dziś mocno nie na rękę, bo dobrze rozumie, że utrudnia ona na innych polach zadania polityki niemieckiej. Ale fakt, że ta agitacja istnieje, że rząd niemiecki ją pośrednio finansuje, jest sam w sobie dość wymowny. Niemcy pozostali Niemcami i z niczego nie rezygnują. Conajwyżej „zadania niemieckości" dzielą na serje. Ciekawi jesteśmy, który dziennik francuski to napisze... 27 sierpnia.

Kazimierz Smogorzewski.

KANIKUŁY PARYSKIE

I pomyśleć, że tak niedawno jeszcze człowiek uskarżał się na szalone i arytmiczne tempo życia paryskiego, że przeszkadzał mu w pracy nadmiar aktualnych tematów o przebogatej skali różnorodności, że nie wiedział wprost, jak wcisnąć w ramy jednego felietonu wszystkie sensacje dnia!... Prawdę wszakże mówiąc, niema powodu ku rozpaczy, gdyż: *„Paris est mort, vive Paris!"*... Bo przecież tych Paryżów jest w Paryżu duża, bardzo duża ilość. Znacznie większa, aniżeli taki etranżerski ciura z pod turystycznej chorągwi Jego Cook'owskiej Mości obsamochodować — przepraszam za ten neologizm lokalny — zdoła. A przytem, każdy z tych dzielnicowych Paryżów posiada swoją indywidualną fizyonomję zewnętrzną, swój odrębny byt codzienny, swoje własne wydarzenia nadzwyczajne. Nigdzie bodaj regjonalizm nie jest rozwinięty tak silnie, jak w stolicy hyper-scentralizowanej Francji... Niejeden mieszkaniec lewego brzegu Sekwany latami całemi nie bywa na jej prawym brzegu, i vice versa. Bo i pocóż? Z kilkumiesięcznym opóźnieniem, w *cinéma du quartier* pokazują najlepsze filmy międzynarodowe, w *varieté du quartier* występują najsłynniejsze gwiazdy tinglowe, w *théâtre du quartier* grają najznakomitsi aktorzy bulwarowi. Nie mówiąc już o kawiarniach, restauracjach, magazynach, halach, etc *du quartier*, też coraz ściślej wzorujących się na wytwornych prototypach swoich, a, rzecz prosta, o wiele od nich tańszych. Francuzowi zaś rdzennemu pugilares jest bardzo blizki sercu...

Martwy sezon? Pojęcie względne. Martwy, o ile ma się na myśli politykę, sztukę, literaturę, etc. i nawet... skandale, podniesione do potęgi paryskiego *Cosmopolis* wielkoświatowego. Martwy, jeśli sądzić podług minimalnego ruchu ulicznego w zamożnych dzielnicach, jeśli mierzyć ilością zamkniętych gmachów teatralnych, sal koncertowych, wystaw malarskich w centrum miasta, jeśli się jest stałym bywalcem sensacyjnych posiedzeń w Izbie Deputowanych, w *Institut de France*, w *Palais de Justice*. Martwy, zwłaszcza, dla tych, których wrażliwość stępiona już została przez snobizm płytki. Chociaż wystarczy rzucić okiem na pisma codzienne, by przekonać się, że nawet i one mają jeszcze na czem żerować. Bezsprzecznie, ani to tak obfite, by zaspokoić ich wiecznie głodną ciekawość, ani tak pikantne, by zadowolnić ich do cna przepalone podniebienia, ale zawsze tłuste czcionki nagłówka artykułu są usprawiedliwione...

A więc, *proces adwokatów, specjalistów od spraw rozwodowych*, przybrał rozmiary dyplomatycznego niemal incydentu, gdyż oddanie ich pod sąd dyscyplinarny pod zarzutem przeprowadzania nielegalnie szybko formalności prawnych wywołane zostało oficjalną interwencją rządu amerykańskiego. Obywatele Stanów Zjednoczonych hołdują zasadzie współzależności dolara do czasu, dzięki czemu do systematycznie już uprawianego kupczenia orderami egzotycznymi, dyplomami naukowemi, tytułami arystokratycznymi i t. d., dochodzi jeszcze jedna gałąź handlu: rozwodami błyskawicznymi. Jest to oczywiście, wysoce nieetyczne, ponieważ zaś Ameryka zdobyła rekord moralności, przeto cnotliwi jej miljonerzy prali swoją brudną bieliznę małżeńską przed trybunałami zdeprawowanej Francji. Wolność, szybko i dyskretnie uzyskiwana, więcej jest warta od podłej mamony! Tembardziej, gdy się ma dosyć i dolarów i... żony, każdego w innym rodzaju. A kara za grzech? Spadła, jak łatwo domyśleć się można, jedynie na zbyt uczynnych adwokatów, których skazano zresztą tylko na krótkoterminowe zawieszenie w czynnościach. Odpoczynek przymusowy, dokładnie odpowiadający martwemu sezonowi w sądownictwie, i z góry przez wdzięczną klientelę suto wynagrodony. Ale proszę sobie wyobrazić, że na 150 rozwodów dokonanych, 140 było raczej podejrzanych — cóż za wspaniała gratka dla plotkowania!!... Taka masa nazwisk i znajomych, i znanych, a wszystkie — co za satysfakcja! — cudzoziemskie. Więcej — anglo-saskie!

Tak, wystarczy pożyć trochę więcej w swojej własnej dzielnicy ,a mniej na wielkich bulwarach, wystarczy podsłuchać rozmowę 2-ch klasycznych *concierge*'k, rozprawiających o przyczynach drożyzny, wystarczy być objektywnym świadkiem burzliwych owacyj, czynionych każdemu artyście kabaretowemu, ośmieszającemu *météque*'ów, by uświadomić sobie, jak dalece francuski Paryż nie lubi internacjonalnego Paryża. Oklepany dowcip: rodowity mieszkaniec Montparnasse'u, który popełnił samobójstwo z nostalgji i z tęsknoty za ojczystą mową... Przesadna jest tylko wiadomość o targnięciu się na życie, lecz nie o ewentualnych przyczynach!! Dziwić się tej ksenofobji — istniejącej, co prawda, głównie w małomieszczańskich sferach — zbytnio nie można. Zachowanie się niekulturalnych turystów przystosowujących swoje formy towarzyskie do kursu funta sterlinga, wartego aż 124 franki, czy do dolara, równego 25-ciu frankom, ich na tem tle występująca arogancja jest, rzeczywiście, trudna do strawienia. Nadomiar złego, gdy jacyś rzeźnicy londyńscy skazani są przez trybunał w Boulogne za burdy uliczne i za pobicie żandarmów na kilkumiesięczne więzienie, wówczas szowinistyczna prasa angielska wpada w melodramat i opisuje „katusze obywateli wielkobrytyjskich w ciemnicach francuskich"... Ach, ta „mocna" waluta!

„Paname, Paname, mon doux village..." (*„Paname"* jest to żargonowa nazwa Paryża).

W tym *refrain'ie* popularnej tak dziś piosenki mieści się szczera prawda — Paryż posiada wciąż jeszcze wiele cichych zakątków prowincjonalnych, których ten właśnie, małomiasteczkowy charakter najjaskrawiej bodaj uwydatnia się w okresie letnich kanikuł. Gdy Paryż-stolica zapada w letargiczny sen martwego sezonu... czynne i dotąd nieliczne bardzo teatry śródmieścia świecą pustkami, nie bacząc na hojne szafowanie „faworkami" zniżkowemi (*„billets de faveur"*). Wszelakiego zaś rodzaju *„Gaités"* dzielnicowe obwieszczają, iż „bilety ulgowe i passe-partout są nieważne, gdyż dyrekcja zaangażowała na gościnne występy Georgius'a, Tramel'a, Damite, Polaire i inne sławy bulwarowych scen". Publiczność przychodzi na przedstawienie bez kapeluszy, bez kołnierzyków i nawet bez marynarek, w rannych pantoflach na gołe stopy. Przynosi ze sobą prowjanty i gazety, bo antrakty są długie. I chusteczki do nosa przynosi też, bo sztuki łatwo wyciskają łzy z oczu tym sentymentalnym prowincjonałom paryskim... Słowem, sezon trwa — odmiennej postaci, różnem tempie i w innym Paryżu.

(Paryż).

Zygmunt St. Klingsland.

PRASA POLSKA

Praso odegrała w życiu polskiem podczas niewoli tak wielką rolę, że historja jej ideologji oczekuje wciąż specjalnej monografji. Niestety dzieła takiego nie posiadamy. Są przyczynki, dotyczące już to wydawnictw perjodycznych na emigracji (Kucharzewski), już to czasopism pozytywistów (Woycicki), już to poszczególnych dzienników, czy tygodników. Ale książki, którąby zobrazowała oddziaływanie prasy perjodycznej w naszych prądach umysłowych i społecznych od czasu upadku Rzeczypospolitej, książki, którąby wydobyła na jaśnię, czem były w Polsce rozczłonkowanej dzienniki i czasopisma zarówno jawne, jak tajne, z jakimi rygorami zaborców walczyć musiały i co zdziałały w ciągu wieku, pomimo tych rygorów — niema dotychczas. Dopiero jednak taka praca syntetyczna, która będzie koniecznem uzupełnieniem dziejów naszej umysłowości, pozwoli rozejrzeć się całkowicie w rozwoju, zadaniach, metodach pracy i niedomaganiach naszej prasy powojennej.

Jeżeli chodzi o rozwój ilościowy, prasa w Polsce odrodzon. doszła do nieznanego przed tem rozrostu. Wydany niedawno 4-ty rocznik „Katalogu Prasowego" Polskiej Agencji Reklamowej (za rok 1928) stwierdza, że na ziemiach Rzeczypospolitej i poza jej granicami wychodzi obecnie **1646 czasopism polskich oraz 287 obcojęzycznych.** Liczba ta nie jest imponującą, o ile weźmiemy pod uwagę trzydziestomiljonową ludność Polski i o ile porównamy stan naszej prasy z jej stanem w innych krajach. W podziw jednak wprawia samo **tempo** rozrostu naszej prasy perjodycznej: w przeciągu trzech lat, t. j. od roku 1925, ilość wszelkiego rodzaju naszych czasopism pomnożyła się o **50 procent.** Najwyższy odsetek wzrostu przypada na województwa wschodnie (tarnopolskie, poleskie i wileńskie).

Ilość czasopism, wydawanych w poszczególnych miastach, nie zawsze odpowiada ilości mieszkańców — wchodzi tu oczywiście w grę cały splot różnorodnych warunków kulturalnych. Najwięcej wydawnictw perjodycznych wydaje stolica, bo aż 509, czyli więcej, niż jedna czwarta wszystkich, wychodzących na całym obszarze kraju. Do dziesięciu następnych miast, które mają najobfitszą prasę perjodyczną, należą: Lwów (250,000 mieszk.) — 161 czasopism, Poznań (324,000 mieszk.) — 157 czasopism, Kraków (200,000 mieszk.) — 125 czasopism, Wilno (200,000 mieszk.) — 64 czasopism, Katowice (150,000 mieszk.) — 61 czasopism, Łódź (600,000 mieszk.) — 59 czasopism, Lublin (110,000 mieszk.) — 29 czasopism, Toruń (53,000 mieszk.) — 26 czasopism, Bydgoszcz (110,000 mieszk.) — 22 czasopism.

Łódź, która w tym wykazie zajmuje siódme zkolei miejsce, winnaby, w stosunku do ilości swych mieszkańców, zajmować miejsce drugie, a gdybyśmy ją zestawili z miastami obcemi takiej samej ilości mieszkańców, toby zajęła śród nich niewątpliwie miejsce ostatnie.

Rozproszeni po całym świecie Polacy, zakładają wszędzie czasopisma własne. Według „Katalogu Prasowego" jest obecnie takich czasopism **153,** a mianowicie w Ameryce północnej 84, w Argentynie 2, w Brazylji 6, w Austrji 1, w Belgji 1, na Białorusi 2, w Chinach 2, w Czechosłowacji 15, we Francji 15, w Kanadzie 2, na Litwie 4, w Łotwie 1, w Niemczech 13, w Rumunji 2, na Ukrainie 3. W wykazie tym zastanawia mała stosunkowo ilość czasopism polskich w Ameryce, a zwłaszcza w Brazylji, gdzie od dawiendawna osiadła bardzo liczna emigracja polska. **W Stanach Zjednoczonych co roku ubywa po kilka pism polskich.** W roku 1922 było ich jeszcze 130, w roku 1924 naliczono już tylko 102, obecnie zaś nasze wychodźtwo w Ameryce północnej wydaj zaledwie 84 pisma. Tak gwałtowny spadek zastanawia i zatrważa. Analiza samego zjawiska byłaby ryzykowna z oddalenia, bez dokładnej znajomości warunków czytelniczych śród Polaków amerykańskich. Może się tu odbywać proces podboju czytelników jednych pism przez drugie, ale może to być również **wynik asymilacji młodszego pokolenia Polaków,** zrodzonych w Ameryce i całkowicie pochłoniętych przez kulturę amerykańską. Gdy przejdą przez amerykańską szkołę średnią, czy nawet powszechną, przestają się podobno interesować pismami polskiemi.

Zato u nas na miejscu, odbywa się **proces odwrotny** i mniejszości narodowe, wyodrębniając się coraz znaczniej, zabiegają usilnie o rozwój swoich czasopism. „Katalog" podkreśla **znaczny przyrost pism żydowskich i ukraińskich** oraz nieco mniejszy pism niemieckich. Prasa obcojęzyczna w Polsce reprezentowana jest przez 266 czasopism według podziału następującego: niemieckich (bez Gdańska, który wciągnięto również do katalogu) — 100, żydowskich 89, ukraińskich 58, białoruskich 5, litewskich 3, rosyjskich 3, francuskich 3, angielskich 4, włoskich 1.

Wzrost ilości wychodzących czasopism dowodzi niewątpliwie wzrostu czytelnictwa. „Katalog" prasowy podaje swój własny, niezawsze ścisły podział czasopism według ich specjalności zawodowej. Z wykazu tego i obliczenia poszczególnych rubryk wynika, że w perjodycznej prasie naszej posiadamy 745 **czasopism zawodowych.** Śród nich najpierwsze miejsce zajmują czasopisma religijne, bo jest ich aż 94. Następnie idą: związkowe 50, naukowe 46, rolnicze 43, handl. i gospodarcze 41, sportowo i fizyczno - wychowawcze 32, pedagogiczne 29, dla młodzieży 29, lekarskie 21, prawnicze 18, wojskowe 18, przemysłowe i techniczne 17, radjowe 17, kobiece 16, humorystyczne 15, ilustracyjne 14, teatralne i filmowe 14, bartnicze i ogrodnicze 14, harcerskie 12, muzyczne i śpiewacze 12, chemiczne i farmaceutyczne 9, akademickie 9, gastronomiczne i hotelowe 9, filatelistyczne 8, literackie 8, drzewne 7, mleczarskie 7, bankowo - giełdowe 7, leśnicze 6, graficzne i papiernicze 6, lotnicze 6, naftowe 6, dla dzieci 5, dentystyczne 5, księgarskie i bibljograficzne 5, górnicze i hutnicze 5, artystyczne 5, asekuracyjne 5, budowlane 5, zdrojowe i turystyczne 4, spółdzielcze 4, żeglarskie 4, fotograficzne 4, szachowe 3, automobilowe 3, weterynaryjne 3, cukrownicze 3, matrymonjalne 3, gorzelnicze 2, pożarnicze 2, felczerskie 1, miernicze 1.

Zestawienie to nasuwa uważnemu czytelnikowi cały szereg refleksyj o stanie naszej kultury. Będzie musiał np. uśmiechnąć się gorzko na myśl, że posiadamy tyleż czasopism elektrotechnicznych, co... matrymonjalnych, a zastanowi go również ilość czasopism religijnych, **przewyższająca więcej niż dwukrotnie ilość czasopism naukowych.** Rozważanie to stałoby się ciekawszem, gdyby „Katalog" podał całkowity podział czasopism według ich treści. Niestety nie dokonano tego.

Śród czasopism mieści się znaczna ilość dzienników i wydawnictw politycznych, społecznych i informacyjnych, które przecież największą rolę odgrywają w naszem życiu bieżącem. Przed kilku dniami zanotowano **zamknięcie „Warszawianki"** warszawskiej **i „Nowej Reformy"** krakowskiej. To są zjawiska, mające swe głębsze uzasadnienie. Najmniej baczny czytelnik spostrzeże, że dziennikarstwo polskie po wojnie uległo przemianie wewnętrznej, której niepodobna nazwać dodatnią. Z chaosu inflacyjnej epoki, z wrzaskliwości „paskarza" i z braku czasu aferzystów, których roje całe powstały w Polsce, z walki kilkudziesięciu partyj sejmowych i po barbarzyńsku pojętej „wolności", zrodził się typ dziennika, który główną treść artykuliku, czy błahej informacji zawrzeć pragnie w „zajmującym" tytule, wydrukowanym olbrzymiemi czcionkami, zredagowanym „pomysłowo" i „dowcipnie".

Zarazie zajmującego tytułu, jako **istoty** „ciekawego" pisma, uległa w Warszawie świadomie lub nieświadomie **znakomita większość prasy codziennej.** Za tym przykładem poszła prowincja. Ci, co dali hasło tak pojmowanej informacji, mają u siebie specjalistów „od tytułów", a **relacje policyjne o wypadkach powierzają wybitnym literatom** do przerabiania na oddzielne nowelki z „zaokrągleniem", pełnem żarcików, domyślnych epizodzików i wesołych insynuacyj. Naśladowcy czynią to mniej zgrabnie, ale niemniej wrzaskliwie. Przy takim systemie niejedna sprawa pierwszorzędnego znaczenia otrzymuje w dzienniku nowego typu opiekę kilkuwierszową, a „kawał", dotyczący jakiejś popularnej osobistości ze świata politycznego, samorządowego, aktorskiego zajmuje nieraz przez wiele dni po połowie naczelnej kolumny pisma. Dziennikarstwo w ten sposób pojęte **przestaje być odbiciem życia narodowego,** a zamienia się w codzienne dostarcz'nie czytelnikowi lektury mniej lub więcej poufnej, grającej na jego najniższych instynktach, opartej na grubej sensacji, kompromitującej plotce, jaskrawej „polemice", wyolbrzymionym opisie drobnego wydarzenia, ozdobionego natychmiastową, doskonałą, technicznie ilustracją. Czytelnik, który kilka razy weźmie do ręki taki dziennik, doznaje uczucia, iż zażył morfiny i ani się spostrzeże, gdy wpadnie w **nałóg sensacyjnej lektury.** Pod wpływem tego prądu odbywa się w tej chwili w Warszawie osobliwy proces komasacji czytelnictwa dziennikarskiego: dzienniki sensacyjno - popularne odbierają zwolna czytelników innym, mniej zasobnym dziennikom. Rozczłonkowanie partyj politycznych i słaba ich organizacja mało sprzyja rozwojowi czasopism politycznych: Poza czterema dziennikami wszystkie inne żyją z subsydjów, albo też walczą z niedoborami.

Na zjeździe dziennikarskim **ujawniono niedolę współpracowników niektórych czasopism,** które weszły na drogę naśladownictwa tytułów i sensacyjnej formy, ale brakło im talentów plotkarskiej inwencji: bywali współpracownicy, którym płacono gażę... kwitami niezapłaconych ogłoszeń, bywali inni, którzy za pracę swą otrzymywali gumowe koła od automobilów.

To są charakterystyczne **signa temporis...** Dziennikarstwo nasze ogarnia groźna fala **interesu za wszelką cenę,** fala, która pochłonie zwolna wszelką poważniejszą ideologję.

Jan Lorentowicz.

Djalog ekscentryczny o piękności kobiecej

P. Halinie Konopackiej w hołdzie.

—Ach, mój Boże! niech pan nie mówi tak głośno! Głowa mi pęka z bólu. Nie wiem doprawdy, co mi jest, ale muszę być bardzo chora...

W pokoju, o zamkniętych szczelnie oknach i zapuszczonych storach, panował półmrok, przesycony ciężkim zapachem perfum i kwiatów. Leżąc na szeslongu w barwnem kimono, Syrena przymknęła oczy z miną męczennicy, skazanej na śmierć w torturach. Twarzyczka jej pobladła, powieki posiniały, pod długiemi rzęsami zaległ niezdrowy cień, a usta, złożone w żałosną podkówkę, miały wyraźną skłonność do płaczu.

— Niech pan siada tu obok — rzekła Syrena nie otwierając oczu — i niech mi pan powie coś miłego... coś bardzo miłego....

Zawahałem się na chwilę pomiędzy litością dla słabej istotki, a niechęcią, jaką w ludziach zdrowych i energicznych budzi wszelkie niedołęstwo...

— Mówił ma pan wczoraj — podjęła leniwie piękna pani — że ja się panu podobam. Czy to prawda?

Podniosła niedbale wypieszczoną dłoń i lustrowała różowe paznokietki zmrużonemi oczami.

— Dziś pani mi się wcale nie podoba — rąbnąłem prosto z mostu.

Syrena podniosła powieki i spojrzała na mnie, nieco zdziwiona.

— A dlaczego, jeśli wolno wiedzieć — wycedziła właściwym sobie tonem.

— Dlatego, że pani jest zupełnie, ale to zupełnie niepodobna do Konopackiej. A Konopacka to najpiękniejsza Polka na świecie.

Skutek tej deklaracji był nadzwyczajny. Syrena podniosła się napół ze swego łoża boleści. Na jej bladych policzkach ukazał się lekki rumieniec. Oczy nabrały blasku.

*

— No, no, proszę... Co za entuzjazm! — rzekła z przekąsem — nie wiedziałam, że pan jest aż takim czcicielem siły. Ale co ma wspólnego siła z pięknością? Proszę mi to wyjaśnić.

— Dobrze, ale przedewszystkiem pozwoli pani, że wpuszczę tu trochę światła i powietrza.

Świeży powiew razem z potokami słońca wdarł się zwycięsko do buduaru. Syrena zakryła sobie oczy, jęcząc:

— Pan znęca się nademną! Pan mnie zabije! Mówiłam przecie, że jestem cierpiąca...

— Narazie nic pani nie jest — odparłem szorstko — ale robi pani wszystko, aby zrujnować swoje zdrowie i zniszczyć swoją urodę. Wczoraj, po teatrze, spędziła pani pół nocy w dusznym dancingu. Jadła pani zbyt późno kolację, podlaną zabójczemi sosami. Piła pani czarną kawę i jakieś wątpliwe likiery. A potem nie mogła pani długo usnąć. Miała pani sny niemiłe. Nic dziwnego, że dziś boli panią głowa. Wygląda pani fatalnie. Proszę przejrzeć się w tym lusterku. Cera żółta, twarz mizerna, oczy podbite, usta blade, fałdy koło noska, zmarszczki na czole — czy sądzi pani, że to jest droga do piękności? Czy pani przypuszcza, że kobieta, która boi się spojrzeć sobie w oczy w pełnym blasku słońca — może się naprawdę podobać? *Allons donc!* Jeśli mam być szczery, to powiem, że taka szpitalna atmosfera, jaka tu dziś panuje, wzbudza we mnie tylko politowanie...

Syrena zerwała się tak gwałtownie, że wywróciła taburet z wazonem kwiatów. Narcyzy i tuberozy spoczęły na mokrym dywanie wśród szczątków porcelany.

— To wszystko przez pana! Co za nieznośny człowiek! Marysiu! Pozbieraj to! I wynieś stąd te kwiaty! I tamte również! Wynieś wszystkie wazony. Tłukłabym teraz wszystko, co mi wpadnie pod rękę!

Oczy Syreny miotały błyskawice, zapowiedź burzy z piorunami wisiała w powietrzu.

— Niech pan nie odchodzi! — krzyknęła na cały głos, widząc, że sięgam przezornie po kapelusz — to nawet nieładnie! Tak nie postępuje prawdziwy gentleman!

Zapomniawszy o swoich cierpieniach, Syrena skoczyła ku mnie z impetem pantery, wydarła mi z rąk kapelusz i laskę i niemal przemocą zainstalowała mnie na krześle.

Co za przemiana! Twarz jej pałała żywym rumieńcem, krew zdawała się tryskać z warg, przygryzanych białemi, ostremi ząbkami. Krążyła po pokoju, zwinna i gibka, z szelestem lekkich jedwabi, a ja wodziłem za nią zachwyconym wzrokiem.

*

— Więc żeby się panu podobać, należy zdobyć koniecznie laur olimpijski, tak czy nie?

— Niekoniecznie — odparłem — zresztą, każda piękna kobieta — jak i każdy nieskazitelnie piękny mężczyzna — nosi na czole niewidzialny laur. **Każde piękno zdrowego ciała ludzkiego jest olimpijskie.** Od pani żądam jedynie, abyś go nie niszczyła i nie poniewierała.

— Czem?

— Ekscesami bezmyślnej mody.

— Stara piosenka! Znam już te pańskie narzekania na wychudzone garsonki i na zabójcze praktyki kosmetyczne i wysmuklające...

— Które powinny być policyjnie zakazane, narówni ze sztucznemi poronieniami. Tak jest, droga pani! Uważam te praktyki za bezecne. Jeśli większość t. zw. eleganckich kobiet ulega im bezkrytycznie — to dlatego, że obce im jest zupełnie życie olimpijskie. Olimpijskie — to znaczy sportowe. Naturalna, wysmukła i zręczna sylwetka kobiety nowoczesnej — to sylwetka Djany Łowczyni o długich, sprężystych nogach, gibkim stanie, nieznającym żadnych bandaży, o małej, dumnie osadzonej główce, o bystrych, śmiałych oczach. Takie cechy rzetelnej, naturalnej piękności wyrabia tylko życie olimpijskie, życie, pełne ruchu, przestrzeni, słońca, życie, oparte na harmonji ducha i ciała.

Wszystko inne — **masaże, parafina,** głodówki, djety, kuracje odtłuszczające — to tylko „ersatz", niekiedy **szalbierstwo,** w każdym razie — grube nieporozumienie.

— Dlaczego?

— Widzi pani, kobieta jest **naogół istotą** bezkrytyczną, pozbawioną własnego poglądu nietylko na świat, ale nawet na siebie samą. **Kobieta nie rządzi się rozumem. Rządzi się modą.** Niema na świecie gorszej tyranji, jak tyranja mody. To też wielcy krawcy paryscy pastwią się literalnie nad miljonami kobiet, robiąc z nich deski do prasowania, albo wieszadła do sukien. Wie pani, skąd powstała moda chudości? Stąd, że wyższe „dziesięć tysięcy", cały międzynarodowy „high life" hołduje namiętnie sportom. Wytworne kobiety z tych sfer prowadzą samochody, uprawiają tennis, golf, polo, jeżdżą konno, pływają, wiosłują, łyżwują, saneczkują i t. d. Słowem — prowadzą życie olimpijskie i wskutek tego, nabierają stopniowo cech posągowej, olimpijskiej piękności, której najlepszym wyrazem jest nasza Halina Konopacka, żywy model bogini Artemidy. Wielcy krawcy, ubierając te kobiety, naturalnie wysmukłe, wysportowane, gibkie i zręczne — narzucili wszystkim ich siostrzycom, bez względu na ich tuszę i wymiary, przesadny styl szczupłej garsonki.

Cóż wobec tego czynią kobiety? Zamiast dostosować się do tego stylu zapomocą gimnastyki i sportu — co zresztą nie dla wszystkich jest możliwe — oddają się na pastwę szarlatanom, którzy wytapiają z nich tłuszcz razem z pięknością i zdrowiem.

Bo rzetelna piękność musi być zdrowa! Tak, droga pani Syreno! Kobieta, prowadząca takie życie, jak pani, może być efektowna w świetle kinkietów — ale piękną nie będzie. Przynajmniej w moich oczach....

Najpiękniejsza suknia, prosto z rue de la Paix, nic tu nie pomoże, jeśli wyczuwa się pod nią formy źle sharmonizowane, sztucznie wychudzone, ciało znękane głodówką i za-

Humor

— Bardzo lubię patrzeć w przyszłość — rzekła pewna dama do Rousseau'a.
— Słusznie pani czyni — odpowiedział Rousseau — przeszłość często jest tak ciemna...

* * *

— Masz zapewne kłopot z taką parką bliźniaków, po nocach chyba spać ci nie dają.
— Nie jest tak źle, jak myślisz. Jedno z nich krzyczy tak głośno, że drugiego zupełnie nie słychać.

* * *

— Podpis szanownego pana mi nie wystarczy — może pan poprosi tutaj któregoś ze swoich przyjaciół lub dobrych znajomych, mieszkających w tym samym domu.
— Niestety, to będzie niemożliwe — jestem bowiem właścicielem tego domu, nie mam więc ani jednej życzliwej duszy w nim.

* * *

— Panie doktorze, niech mi pan powie, co mi jest. Proszę tylko nazwać to nie po grecku, ani po łacinie, lecz po polsku, abym dobrze zrozumiał.
— Nic panu nie jest, jest pan poprostu obżartuchem, pijakiem i leniem.
— Uprzejmie panu doktorowi dziękuję — prosiłbym jeszcze, aby pan doktór zechciał mi to wszystko powtórzyć po łacinie, bym mógł to powiedzieć żonie.

* * *

— Powiadam ci, moja droga, okropnie wczoraj wpadłam. Chciałam się spalić ze wstydu. Wyobraź sobie, powiedziałam Bolkowi, że nikt mnie jeszcze nie całował i dopiero potem przypomniałam sobie, że przecież dwa lata temu byłam z nim zaręczona.

* * *

— Wyobraź sobie, moja droga, że wczoraj grałam rolę młodzieńca i conajmniej połowa mężczyzn, którzy byli na widowni, święcie wierzyła, że jestem mężczyzną.
— To ci się rzeczywiście udało, ale zato druga połowa wiedziała zupełnie dokładnie że jesteś kobietą.

* * *

— Nie mogę dojść do ładu z mojemi finansami.
— To się ożeń!
— Ba, myślisz że to tak łatwo. Z miłości ożenić się nie mogę, bo mam zbyt wiele długów, a dla pieniędzy żenić mi się nie opłaci, bo mam jeszcze za mało długów.

* * *

— Co porabiają dwaj pańscy bracia, jakże im się powodzi?
— Dziękuję, jeden z nich się ożenił, a drugiemu powodzi się bardzo dobrze.

* * *

— Niemasz pojęcia, co za kłopoty ma się teraz z dziećmi. Wczoraj moja siedmioletnia córka tak mnie przycisnęła do muru swemi pytaniami, że musiałam jej wreszcie wytłumaczyć, w jaki sposób przyszła na świat.
— I jakże to przyjęła?
— Wyobraź sobie, że ta smarkata powiedziała mi: „Teraz nareszcie wiem, jak się z tamtąd wydostałam, ale wytłumacz mi jeszcze w jaki sposób się tam dostałam.“

* * *

— Iksiński miał wczoraj nadzwyczajną przygodę.
— ??
— Po północy wraca trochę wstawiony do domu. W korytarzu egipskie ciemności. Otwierają mu drzwi do mieszkania. Iksiński, przekonany, że otwiera mu pokojówka, całuje ją. A tymczasem to była jego żona.
— No i co się stało?
— Powiedziała mu: „Nie teraz, nie teraz, bo lada chwila może przyjść mój mąż!“

* * *

— Od wszystkiego można się odzwyczaić, mój chłopcze. Ja kiedyś przez cały rok nie miałem papierosa w ustach...
— A ja wcale o tem nie wiedziałem, że tatuś był karany...

* * *

— Jak się nazywa obraz, do ktrego pani pozowała temu sławnemu młodemu malarzowi?
— „Kleopatra z wężem“.
— A która z pań pozowała do Kleopatry?

* * *

— Z czego sądzisz, że on chce się z tobą ożenić?
— Bo już teraz patrzeć nie może na moją mamę.

* * *

— Gdy moja żona siądzie przed lustrem, to czasem przez godzinę nie przemówi ani słówkiem.
— Dlaczego?
— Bo z powodu remontu zamyka buzię.

Spółka Akc. Wyrobów Bawełn. I. K. Poznańskiego w Łodzi.

Bilans po dzień 31 grudnia 1927 roku.

Stan czynny.

			Złote i grosze
Grunta i place			992,372.—
Budynki			10,764,019.28
Maszyny			18,059,051.48
Ruchomości, urządzenia i tabor przeworowy			1,167,364.01
Remanenty:			
Skład bawełny	1,261,736.18		
Przędzalnia	1,678,749.33		
Skład przędzy	1,491,394.—		
Tkalnia	1,398,914.90		
Farb., Druk. i Wykończalnia	2,733,068.16		
Gotowy towar	5,201,141.76	13,765,004.33	
Materjały, węgiel i drzewo		3,313,547.20	17,078,551.53
Kasa			11,497.54
Weksle			820,836.25
Papiery wartościowe			370,749.61
Dłużnicy			20,243,156.67
			69,507,598.37
Listy zastawne w depozycie			5,091,840.—
Różni za wydane gwarancje dolarowe			48,950.—
„ „ „ „ Frs.			495,998.93
Dostarczone a nieodebrane maszyny			3,722,817.29
			78,867,204.59

Stan bierny.

	Złote i grosze
Kapitał zakładowy	25,000,000.—
„ zasobowy	1,450,036.01
„ amortyzacyjny	550,000.—
Niepodniesiona dywidenda	329.97
Wierzyciele	41,464,084.55
Zysk	1,043,147.84
	69,507,598.37
Zabezp. hip. pożyczki w listach zastawnych	5,091,840.—
Wydane gwarancje w dolarach	48,950.—
„ akcepty gwarancyjne w Frs.	495,998.93
Wierzyciele za dostarczone a nieodebrane maszyny	3,722,817.29
	78,867,204.59

Rachunek strat i zysków za 1927 r.

Winien.

		Złote i grosze
Koszty handlowe	2,571,448.11	
Podatki	1,928,511.80	
Procenty	3,890,931.83	
Prowizje	819,512.25	
Różnice kursowe	251.78	
Straty na dłużnikach	145,119.42	9,355,775.19
Przeniesienie na kapitał amortyzacyjny		150,000.—
Zysk do podziału		1,043,147.84
		10,548,923.03

Ma.

	Złote i grosze
Pozostałość zysku na 1. I. 1927 r.	158,808.70
Zysk brutto	10,390,114.33
	10,548,923.03

Podział zysku.

Uchwałą Walnego Zgromadzenia z dn. 12.VII.28. całkowity czysty zysk w wysokości Zł. 1,043,147.84 przelewa się na Kapitał amortyzacyjny.

Wydział Rejestru Handlowego

Sądu Okręgowego w Łodzi

Do Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi, Działu A. i B. wniesiono następujące wpisy: za Nr. Nr.:

Nr. 13317/A. **„A. Hajduskiewicz i A. Kropp“.** Prowadzenie mechanicznej stolarni. Firma istnieje od 31 maja 1928 roku. Ruda Pabjanicka, ulica Piotra Nr. 6. Właściciele Augustyn Hajduskiewicz, zam. w Rudzie Pabjanickiej przy ulicy Piotra Nr. 6. Spółka firmowa. Czas trwania spółki trzyletni z automatycznem przedłużeniem z trzechlecia na trzechlecie. Zarząd należy do obydwóch wspólników. Wszelkie zobowiązania, weksle, przekazy, czeki, indosy (żyra) na wekslach, umowy, kontrakty, rachunki, kwity i korespondencje podpisują obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmy, jak również ciż inkasują i kwitują odbiór wszelkich sum pieniężnych. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13318/A. „Malwin“, właściiel Hersz Migdał i Moszek Alter“. Wytwórnia win krajowych i rodzynkowych oraz miodu do picia. Firma istnieje od kwietnia 1928 roku, Łódź, ul. Cegielniana Nr. 36. Właściciele Hersz Migdał, zam. w Łodzi przy ulicy Gdańskiej Nr. 8 i Mojżesz Alter, zam. w Łodzi przy ulicy Zachodniej Nr. 53. Spółka firmowa. Czas trwania spółki dwuletni, poczynając od 1 lutego 1928 roku z automatycznem przedłużeniem z dwuchlecia na dwuchlecie. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Wszelkie zobowiązania, jak weksle, przekazy, żyra itp. podpisują obaj wspólnicy pod stemplem firmowym. Każdy ze wspólników uprawniony jest do samodzielnego podpisywania w imieniu firmy zwyczajnej korespondencji handlowej, nie noszącej charakteru zobowiązania, oraz do odbierania i kwitowania wszelkiego rodzaju korespondencji zwyczajnej, poleconej, wartościowej, pieniężnej, przekazów, przesyłek towarowych z poczty, stacji i magazynów dróg żelaznych i prywatnych firm ekspedycyjnych. Wspólnicy intercyz nie zawarli.

Nr. 13319/A. **„I. Guterman i Sz. Grosman“.** Sprzedaż drzewa. Firma istnieje od 1 marca 1928 roku, Łódź, ulica Rzgowska Nr. 67. Właściciele Josek Guterman i Szyja Grosman, obaj zamieszkali w Łodzi przy ulicy Rzgowskiej Nr. 67. Spółka firmowa. Czas trwania spółki jednorazowy z automatycznem przedłużaniem z roku na rok. Zarząd należy do obu wspólników. Wszelkie zobowiązania jako to: weksle, przekazy, czekł, akcepty i żyra podpisują obaj wspólnicy pod stemplem firmy. Każdy ze wspólników ma prawo odbierania i kwitowania pieniędzy. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13320/A. **„Sergjusz i Herman Halpernowie“** — handel manufakturą. Firma istnieje od 22 lipca 1925 r. Łódź, ulica Kilińskiego 63. Właściciele Sergjusz vel Szmer Halpern, zam. przy ul. Kilińskiego 63 i Herman Halpern przy ul. Narutowicza 47 — w Łodzi. Spółka firmowa. Czas trwania spółki roczny, poczynając od 1 lipca 1925 r. z automatycznem przedłużaniem z roku na rok. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Każdy z nich z osobna ma prawo: podpisywać pod stemplem firmy weksle, czeki, żyra na wekslach oraz wszelkiego rodzaju zobowiązania, zawierać w imieniu firmy wszlkiego rodzaju umowy, inkasować i kwitować należne firmie z jakichkolwiek tytułów sumy, odbierać adresowaną na imię firmy korespondencję: poleconą, pieniężną, wartościową, oraz przesyłki i ładunki, reprezentować firmę we wszystkich urzędach państwowych i komunalnych, prowadzić w imieniu firmy sprawy sądowe. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13321/A. **„A. Safraj i H. Kapłan“.** Wyrób towarów gobelinowych i ubrań. Siedzibą firmy jest Łódź, ul. Piotrkowska 33. Właściciele Aleksander — Asyr Safraj, Łódź, Piotrkowska 175 i Hirsz Kapłan, ul. Wólczańska 29. Spółka firmowa. Czas trwania spółki pięcioletni z automatycznem pięcioletniem przedłużaniem. Listy, weksle, czeki i pokwitowania podpisują pod stemplem firmy obaj wspólnicy łącznie lub Hirsz Kapłan łącznie z Chaimem Safrajem, jako kierownikiem biura. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13322/A. **„Bracia Klajner“** — prowadzenie fabryki robót kutych i młotowania. Siedzibą firmy jest Łódź, ul. Włodzimierska 20. Spółka rozpoczęła czynności swoje 15 maja 1928 r. Właściciele Szlama Klajner, Łódź, ul. Tramwajowa 3 i Izrael Klajner, Łódź, ul. Ogrodowa Nr. 3. Spółka firmowa. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Weksle, przekazy, czeki, żyra, umowy i wszelkiego rodzaju zobowiązania podpisują obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Natomiast każdy z nich oddzielnie ma prawo podpisywania korespondencji, podań, pełnomocnictw i wszelkiego rodzaju dokumentów, niemających treści zobowiązań, odbierania pieniędzy ze wszystkich instytucyj państwowych, komunalnych, banków i osób prywatnych, przekazów, listów pieniężnych, korespondencji zwykłej, poleconej i wartościowej. Na mocy aktu intercyzy z dnia 4 lutego 1928 r. zeznanego przed Notarjuszem Ryfińskim w Łodzi R. Nr. 566 ustalona została między Szlamą Klajnerem i żoną jego Blimą wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13323/A. **„Bar Udziałowy“ Stanisław Kubas i Ska, Spółka firmowa“.** Zakład restauracyjny z prawem sprzedaży napojów alkoholowych. Siedzibą firmy jest Łódź, ul. Piotrkowska 92. Spółka rozpoczęła czynności 4 stycznia 1928 r. Właściiele Paweł Michałkiewicz, Łódź, ul. Ogrodowa 38, Stanisław Kubas, Łódź, ul. Grabowa 23, Leon Jodłowski, Łódź, ulica Piotrkowska 92, Bolesław Jodłowski; Łódź, ul. Piotrkowska 92 i Alfred Butz, Łódź, ul. Piotrkowska 92. Spółka firmowa. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do wszystkich wspólników. Wszelkie zobowiązania, weksle i żyra, podpisuje jeden z Jodłowskich łącznie z Alfredem Butzem; prokury zaś i pełnomocnictwa ma prawo podpisywać Michałkiewicz lub Kubas łącznie z jednym z pozostałych wspólników. Natomiast każdy ze wspólników samodzielnie mocen jest podpisywać korespondencję i odbierać listy polecone i wartościowe. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13324/A. **„Abram Icek Grünstein i Synowie“.** Celem spółki jest prowadzenie sprzedaży mąki. Siedzibą firmy jest Łódź, ul. Piotrkowska Nr. 60. Firma rozpoczęła czynności 20 lutego 1928 r. Właściciele Abram-Icek Grünstein, Łódź, ul. Kilińskiego 18, Aron-Chil Grünstein, Łódź, ul. Południowa 32 i Mojżesz-Mordka Grünstein ,Łódź, ul. Piotrkowska 60. Spółka firmowa. Czas trwania spółki pięcioletni z automatycznem rocznem przedłużeniem. Zarząd należy do wszystkich wspólników. Wszelkiego rodzaju zobowiązania, sola i prima weksle oraz żyra (indosy) na wekslach, wszelkie umowy i kontrakty w imieniu firmy podpisuje Abram-Icek Grünstein łącznie z jednym z pozostałycw wspólników. Natomiast każdy ze wspólników upoważniony jest do podpisywania plenipotencyj sądowych, korespondencji zwyczajnej, rachunków, pokwitowań i innych papierów, niemających charakteru zobowiązań, do odbierania pieniędzy z banków, inkasowania wszelkich należności, odbierania przesyłek wartościowych i pieniężnych, towarów i ładunków oraz do prowadzenia spraw sądowych. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między wspólnikami firmowymi i ich żonami wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 852/B. **„Łódzki Mechaniczny Zakład Rytowniczy, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością“.** Celem spółki jest prowadzenie przedsiębiorstwa rytowania walców i płyt metalowych. Siedzibą firmy jest Łódź, ulica Paryska Nr. 5. Firma istnieje od 24-go maja 1928 roku. Kapitał zakładowy całkowicie wpłacony wynosi zł. 18.000.—, jest podzielony na 18 udziałów po 1000 zł. każdy. Zarząd stanowią: Franciszek Stolle, zam. w Łodzi przy ul. Nawrot Nr. 25 i Marjan Schnejder, zam. w Łodzi przy ulicy Paryskiej Nr. 5. którzy w imieniu spółki, pod stemplem firmy, podpisują: weksle, obligi, żyra, kontrakty, czeki i pełnomocnictwa za wyjątkiem prokur: podnosić wszelkie fundusze, odbierać towary, należności, przesyłki pocztowe i inne, oraz wszelką korespondencję, jak również podpisywać akty notarjalne. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Czas trwania spółki nieograniczony. Akt zawarcia spółki został sporządzony 24 maja 1928 roku. R. N. 1787 przez Władysława Jeżewskiego, Notarjusza w Łodzi.

Nr. 9905/aA. **„Hersz Wejnberg“** z siedzibą w Łodzi, Napiórkowskiego 5. Firma została zlikwidowana.

Nr. 9874/A. **„Kanel i Zbar“** z siedzibą w Łodzi, Cegielniana 26. Siedziba firmy mieści się obecnie przy ulicy Al. Kościuszki Nr. 1.

Nr. 9270/A. **„G. Kawenoki i N. Seryjski“** z siedzibą w Łodzi, Wschodnia 17. Firma obecnie brzmi: „Gileb Kawenoki“. Nochim Serejski ze spółki wystąpił.

Nr. 356/B. **„Krajowa Fabryka Wstążek, Spółka Akcyjna"** z siedzibą w Łodzi Żeromskiego 98. Dyrektorem zarządzającym jest Waldemar Aronson, który uprawniony jest do samodzielnego zarządzania i kierowania interesami spółki z prawem samodzielnego zawierania umów na zakup surowców i t. p., otwierania kredytów i rachunków bieżących, dyskontowania weksli, podpisywania zobowiązań, trat, przekazów, akceptów, zawierania aktów hipotecznych i notarjalnych oraz wystawiania pełnomocnictw.

Nr. 11923/A. **„Fabryka czekolady i cukrów „Biegański"** właściciele: spadkobiercy Konstantego Matwiejowa i Helena Biegańska" z siedzibą w Łodzi, Podleśna 6. Firma obecnie brzmi: „K. Gurynowicz, właściciele spadkobiercy Konstantego Matwiejewa". Spółwłaścicielka Helena Biegańska ze spółki wystąpiła, cedując swoje prawa na rzecz spodkobierców Konstantego Matwiejewa.

Nr. 10492/A. **„Przedsiębiorstwo Handlowe „Nowy Rekord" Izrael Weinberger i Izaak Lubka"** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 37. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego 2 listopada 1925 roku N. R. 13092 przed Janem Krzemieniewskim, Notarjuszem w Łodzi, między Izraelem-Majerem Weinbergerem i jego żoną Chają z Bernheimów została ustalona wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 61165/A. **„Bronisław Korczewski"** z siedzibą w Łodzi, ul. Kilińskiego 205. Na mocy decyzji Sądu Okręgowego w Łodzi, Wydziału Handlowego, z dnia 26 października 1926 roku upadłość firmie została podniesiona.

Nr. 5769/A. **„I. Guterman"** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 53. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Łodzi, Wydział Handlowy, z dnia 14 maja 1928 roku firmie ogłoszona została upadłość i kuratorem mianowano Kazimierza Hermana.

Nr. 5644/A. **„Edward Beck"** z siedzibą w Łodzi, Słowiańska 15. Firma została zlikwidowana.

Nr. 422/A. **„Dom Wiedeński"** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 109. Roza Kaffeman wyszła za mąż, wobec czego właścicielką firmy obecnie jest Róża Lajzerowicz.

Nr. 24/A. **„Baumaterialien Ban-Glas Tr. Haneli"** z siedzibą w Łodzi, Pusta 16. Siedziba firmy obecnie mieści się przy ul. Pustej Nr. 17 w Łodzi. Właścicielem przedsiębiorstwa jest Traugutt Hanelt, zamieszkały w Poznaniu ul. Siemiradzkiego Nr. 2. Na mocy aktu intercyzy z dnia 16 listopada 1900 r. Nr. 10722, zeznanego przed Notarjuszem Płacheckim w Łodzi ustalona została między właścicielem firmy i jego żoną Wandą wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 11963/A. **„Anzelm Krakowski"** z siedzibą w Łodzi, Wólczańska 77. Firma obecnie brzmi: „Anzelm Krakowski i S-ka". Wspólnikiem jest Hersz Rubinraut, zam. przy ul. Przejazd 45, w Łodzi. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 1 stycznia 1929 roku z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do Anzelma Krakowskiego. Weksle i inne zabawiązania podpisują łącznie obaj wspólnicy pod stemplem firmy. Hersz Rubinraut intercyzy nie zawarł.

Nr. 11920/A. **„Wermund Berczin"** z siedzibą w Łodzi, Cegielniana 30. Na mocy aktu intercyzy, zeznanego w dniu 3 marca 1928 roku za Nr. R. 371 przed Notarjuszem Siniarskim w Łodzi ustalona została między Dawidem-Luzerem Wermundem i żoną jego, Chaną z Gelasenów wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 36/A. **Berta Hanisch"** z siedzibą w Łodzi, Widzewska 142. Siedziba firmy obecnie mieści się przy ul. Abramowskiego Nr. 33/35.

Nr. 1296/A. **„A. L. Lapp"** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 58. Prokurentem firmy jest Grzegorz Lapp, zam. w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 58.

Nr. 6297/A. **„Juljusz Klatt"** z siedzibą w Łodzi, Targowa 28. Firma obecnie brzmi: „Wyroby Bawełniane i Półwełniane Juljusz Klatt". Siedzibą firmy obecnie jest: Łódź, ulica Sienkiewicza Nr. 89. Tkalnia mieści się przy ulicy Targowej Nr. 28 w Łodzi.

Nr. 11958/A. **„Piotrkowski Bratsztajn i S-ka"** z siedzibą w Łodzi. Na mocy aktu intercyzy zeznanego w dniu 20 kwietnia 1928 roku R. Nr. 492 przed Romualdem Borkowskim, notarjuszem w Kutnie, między Abramem Chaimem Breitsteinem i jego żoną Małką-Marjem Rotkopf została ustalona wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 266/B. **„Belgijska Spółka Akcyjna"** z siedzibą w Łodzi ul. Pusta 9. Rada zarządzająca składa się z następujących osób: Rude Kuffner — Chateau de Disseg (Czechosłowacja', baronowa R. de Kuffner — Chateau de Disseg, Armin de Haebler — Łódź, Achim de Haebler — Łódź, Dr. Gualtiero de Fischel — Triest, Francoise de Haebler — Berlin i Francois Debligni — Bruksela.

Nr. 613/B. **„Bank Gospodarstwa Krajowego"** z siedzibą w Warszawie, Królewska 5, oddział w Łodzi, Andrzeja 7. Szpor Lucjan, dotychczasowy Dyrektor Zakładu Centralnego Banku Gospodarstwa Krajowego ustąpił z zajmowanego stanowiska; Dr. Merunowicz Feliks, dotychczasowy Dyrektor Zakładu Centralnego Banku Gospodarstwa Krajowego został mianowany zastępcą Naczelnego Dyrektora Banku; Kondorski Wacław został mianowany zastępcą Dyrektora tegoż Banku. Usiekniewicz Józef i Młodzianowski Kazimierz zostali mianowani prokurentami Zakładu Centralnego Banku Gospodarstwa Krajowego.

Nr. 797/B. **„Pabjanickie Młyny Parowe i Łuszczarnia — „Spójnia", spółka z ograniczoną odpowiedzialnością"** z siedzibą w Pabjanicach. Wszystkie dokumenty pieniężne zobowiązania, akty rejentalne podpisuje tylko dwuch członków zarządu.

Nr. 413/B. **„Spadkobiercy Juljusza Jarischa, Fabryka śrub i wyrobów tłoczonych — Spółka Akcyjna"** z siedzibą w Łodzi, ul. Wodna 11/13, Adolf Wejer, prokurent, ma prawo samodzielnego podpisywania firmy.

Nr. 3904/A. **„Moszek Aron Fleiszer"** z siedzibą w Łodzi, ul. Piotrkowska 27. Firma została zlikwidowana.

Nr. 11268/A. **„Dr. Bronisław Gliksman"** z siedzibą w Łodzi, ul. Sienkiewicza 20. Eljakim vel Gustaw Pwifeld, Łódź, ulica Konstantynowska 20 jest prokurentem firmy. Zarząd interesami spółki należy do każdego wspólnika. Do podpisywania wszelkich umów i aktów notarjalnych i hipotecznych, zobowiązań, oraz wystawiania weksli uprawnieni są obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Natomiast do podpisywania czeków odbioru korespondencji, paczek z poczty i urzędów celnych, odbioru pieniędzy z wszelkich instytucyj uprawnieni są: Bronisław Gliksman samodzielnie, a Aron Malc łącznie z prokurentem firmy Eljakimem vel Gustawem Pwifeldem.

Nr. 11994/A. **„Puti Pawłow"** z siedzibą w Łodzi, Nawrot 39. Wyrokiem Sądu Okręgowego, Wydział Handlowy z dnia 15 maja 1928 r. firmie ogłoszona została upadłość i kuratorem mianowano apl. adw. Alfreda Hofmana.

Nr. 5123/A. **„Menachem Bornstein"** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 48. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Łodzi z dnia 7 maja 1928 roku firmie ogłoszona została upadłość i kuratorem mianowano adwokata Bolesława Jasieńskiego.

Nr. 11127/A. **„Roman Gertner"** z siedzibą w Łodzi, Zamenhoffa Nr. 11. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Łodzi, Wydział Handlowy, z dnia 14 maja 1928 r. firmie ogłoszona została upadłość i kuratorem mianowany został adwokat Bolesław Boliński.

Nr. 3379/A. **„S. Litrowski"** z siedzibą w Łodzi, Pomorska 60. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Łodzi Wydział Handlowy, z dnia 10 maja 1928 roku firmie odroczono wypłaty do dnia 10 sierpnia 1928 roku, przyczem nadzorcami sądowymi mianowani zostali adw. Alfred Biłyk i Juljusz Goldberg. Do zarządzenia firmą upoważniony jest właściciel tejże Szlama Litrowski.

Nr. 2681/A. **„Artur Giles"** z siedzibą w Łodzi, Pomorska 98. Firma została zlikwidowana.

Nr. 6032/A. **„Henryk Kraszek"** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 121. Na mocy aktu z dnia 4 października 1923 r. za Nr. 14860, zeznanego przed Notarjuszem Jeżewskim w Łodzi ze spółki wystąpił Herman Malipan i udziały swoje scedował na rzecz pozostałych wspólników.

Nr. 5937/A. **„Natan Chalfi i Aron Goldstein"** z siedzibą w Łodzi, Południowa 28. Firma została zlikwidowana.

Nr. 473/B. **„Zakłady Włókiennicze Karol Buhle w Łodzi, Spółka Akcyjna"**. Zarządzający Włodzimierz Polakowski i Alfred Buhle upoważnieni są do samodzielnego podpisywania w imieniu spółki indosów, czyli żyr na wekslach.

Nr. 3699/A. **„Jakób-Aron Grinstein i S-ka"** z siedzibą w Łodzi. Prywatna 4. Upadłość została podniesiona.

Nr. 629/A. **Julja Macher"** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 129. Firma brzmi: „Julja Macher, wł. Helena Burnowa". Właścicielką przedsiębiorstwa jest Helena Burnowa, Łódź, ul. Piotrkowska 154. Na mocy aktu, zeznanego w dniu 9 czerwca 1928 roku za Nr. 2602 przed Notarjuszem Rossmanem w Łodzi Julja Macher sprzedała przedsiębiorstwo Helenie Burnowej.

Nr. 3563/A. **„Łódzka Manufaktura Pluszowa Teodor Finster"** z siedzibą w Łodzi, Juljusza 17. Stefan Naruszkiewicz, Łódź, Konstantynowska 5, mianowany został prokurentem firmy z prawem samodzielnego podpisywania.

Nr. 289/B. **„Pabjanickie Towarzystwo Akcyjne Przemysłu Chemicznego w Pabjanicach"**. Prokurentem firmy mianowany Herman Würgler z Pabjanic, ul. Piłsudskiego Nr. 5, który ma prawo łącznego podpisu z jednym z dyktatorów lub też z jednym z prokurentów.

Nr. 273/B. **„Syndykat Rolniczy w Łodzi, Spółka Akcyjna"** z siedzibą w Łodzi, Kilińskiego 50. Prokura, udzielona Bernardowi Gertnerowi została cofnięta. Prokurentem firmy mianowany jest Wincenty-Czesław Głowińkowski ze Zgierza, ul. Piłsudskiego 23, który ma prawo łącznego podpisywania z jednym członków Rady Zarządzającej lub Dyrektorem Zarządzającym.

Nr. 7987/A. **„Oskar Frank"** z siedzibą w Łodzi, Kelma 15. Siedziba firmy mieści się obecnie przy ul. 6-go Sierpnia w Łodzi. Właściciel przedsiębiorstwa mieszka obecnie przy ul. 6-go Sierpnia w Łodzi.

Nr. 7746/A **„Jonas Zarski"** z siedzibą w Łodzi, Kilińskiego 104. Firma została zlikwidowana.

Nr. 11748/A. **„Lajb Parzenczewski"** z siedzibą w Łodzi, Plac Wolności 6. Firma obecnie brzmi: „Płomyk" Wł. Lajb Parzenczewski".

Nr. 66/B. **„Towarzystwo Przemysłu Drzewnego „Silwars", spółką z ograniczoną odpowiedzialnością"** z siedzibą w Łodzi, Frederyk Maertin ze spółki i zarządu wystąpił.

Nr. 581/B. **„Towarzystwo dla Przemysłu i Handlu Włókienniczego I. A. Groslajt, Spółka Akcyjna"** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 211, Mieczysław Rosetal mianowany został prokurentem z prawem podpisywania łącznie z którymkolwiek z członków zarządu.

Nr. 10754/A. **„Wajnryb Hofman"** z siedzibą w Łodzi, Św. Jakóba 8. Na mocy prywatnej umowy firma została zlikwidowana.

Nr. 10327/A. **„Ludwik Ludert"** z siedzibą w Rudzie Pabjanickiej. Firma obecnie brzmi: Ludwik Ludert, spadkobiercy". Właśc. przeds. L. Lüdert zmarł. Spadkobiercami jego są: Wilhelm vel Willi Lüdert, Stefanja Lüdert, Ludwik Lüdert, Emma-Marja Elza Kreschmerowa, Eugenja Parler wszyscy w Rudzie Pabjanickiej przy ul. Heleny pod Nr. 5 zamieszkali i Lucia Ruprechtowa w Łodzi ul. Kilińskiego 129. Pełnomocnikami są: Willy, Alfred i Ludwik bracia Lüdert z prawem samodzielnego podpisywania w imieniu firmy.

Nr. 12/B. **„Towarzystwo Akcyjne Grand-Hotel"** z siedzibą w Łodzi, Zarząd obecnie stanowią: Konstancja Kermenič, Marja Heinzel, Dawid Lande, Władysław Ślaski, Oskar Ambroży, Klikar oraz zastępca Oswald Kermenič.

Kasa Chorych m. Łodzi

przypomina P.P. PRACODAWCOM, sporządzającym wykazy potrąceń składek na rzecz Kasy Chorych we własnym zakresie (t. zw. firmy samoobliczające), **że wykazy potrąceń za miesiąc bieżący winny być bezwarunkowo nadsyłane najpóźniej do dnia 10-go następnego miesiąca włącznie.**

W związku z powyższem uprzedza się niniejszem P. P. PRACODAWCÓW, że wrazie nadesłania wykazów po upływie oznaczonego terminu, **przywilej samoobliczania składek na rzecz Kasy będzie Im odebrany bezwzględnie, a składki tym P.P. PRACODAWCOM Kasa wymierzać będzie za pomocą list płatniczych.**

Jednocześnie Kasa Chorych m. Łodzi w związku z mającemi się odbyć wyborami do Rady Kasy podaje do wiadomości, że w razie nienadesłania wykazu potrąceń za miesiąc lipiec r. b. do dnia 10 sierpnia tegoż roku, niezależnie od utraty wskazanego przywileju samoobliczania składek, **liczba zatrudnionych przez P.P. PRACODAWCÓW w m-cu lipcu pracowników, jako podane z opóźnieniem, nie będzie wzięta pod uwagę przy ustalaniu ilości głosów, przysługujących Im jako wyborcom z pośród pracodawców.**

Towarzystwo Akcyjne Pabjanickich Fabryk Wyrobów Bawełnianych

„KRUSCHE i ENDER"

w Pabjanicach.

BILANS na dzień 31-szy grudnia 1927 r.

STAN CZYNNY.	Złote i gr.
Nieruchomości	5,348,125.—
Maszyny i urządzenia . . .	12,804,635.—
Zapasy surowców i materjałów	9,079,605.69
Gotowizna i dewizy . . .	322,989.85
Weksle	1,631,453.43
Papiery wartościowe . . .	354,521.03
Dłużnicy	5,467,470.82
	35,008,800.82

STAN BIERNY.	Złote i gr
Kapitał akcyjny	9,310,000.—
Kapitał amortyzacyjny . . .	8,943,661.—
Kapitał zapasowy	160,311.35
Rezerwa na podatki . . .	111,941.—
Fundusz na cele społeczne i dobroczynne	24,653.03
Wierzyciele — długi przedwoj.	5,457,762.16
Wierzyciele — r-ki bieżące —	10,372,463.91
Rachunek strat i i zysków .	628,008.37
	35,008,800.82

Podział zysku.

	Złote i gr
Na kapitał zapasowy 10%	60,975.18
Na dywidendę 5%, czyli zł. 133.— za akcję w wysokości nominalnej zł. 2,660.—	465,500.—
Na urządzenie letniska dla pracowników Towarzystwa w Kolumnie pod Łaskiem z okazji setnej rocznicy istnienia zakładów (1826—1926)	75,000.—
Do przeniesienia na rok 1928	26,533.19
	628,008.37

Zatwierdzone przez Walne Zgromadzenie Akcjonarjuszów w dniu 12-ym czerwca 1928 roku.

Redakcja i Administracja w Łodzi
ul. Piotrkowska Nr. 85. Telefon Nr. 45-50

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 groszy za milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.*

Odbito w Drukarni Państwowej w Łodzi, Piotrkowska 85. 51928